

KNUT HAMSUN

PAN

Tłumaczył CZESŁAW KĘDZIERSKI

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

PAN

Z papierów porucznika Tomasza Głahna

I

W tych dniach odżyło we mnie wspomnienie lata podbiegunowego z jego nie kończącym się dniem. Siedzę i myślę o nim i o pewnej chacie, w której mieszkałem, i o lesie poza chatą, i zabieram się do spisania tego i owego, trochę dla zabicia czasu, a trochę i dla własnej przyjemności. Czas wlecze się bardzo powoli, nie tak szybko, jak bym tego pragnął, mimo że ani krzta smutku mnie nie trapi i mimo że życie wiodę najweselsze. Zadowolony jestem z wszystkiego, niewątpliwie, a moja trzydziestka nie wchodzi w rachubę. Przed kilku dniami otrzymałem z daleka parę piór ptasich, otrzymałem je od kogoś całkiem niespodzianie – dwa zielone pióra w arkuszu papieru listowego z koroną w narożniku i opieczętowanego opłatkiem. Przyznaję, że uradowałem się na widok tych dwu tak diabelnie zielonych piór. Zresztą jednak nic mnie nie dręczy z wyjątkiem lekkiego darcia w lewej nodze, które jest następstwem zastarzałej rany postrzałowej, dawno już zabliźnionej.

Przypominam sobie, jak szybko mijał czas przed dwoma laty, bez porównania szybciej niż teraz; lato minęło, zanim się spodziałem. Przed dwoma laty to było, w roku 1855 – o tym właśnie zamierzam pisać, dla własnej przyjemności – wydarzyło mi się wtedy coś albo też może mi się to tylko przyśniło. Wielu, co prawda, szczegółów owych zdarzeń już nie pamiętam, ponieważ od tego czasu nie myślałem o nich zupełnie; lecz przypominam sobie dokładnie, że noce były niezmiernie jasne. Miałem także wrażenie, że wiele rzeczy dzieje się na opak; rok miał wprawdzie dwanaście miesięcy, ale noc stawała się dniem i nigdy nie dostrzegłem bodaj gwiazdki na niebie. I ludzie, których spotykałem, byli dziwni i jacyś inni niż ci, których się dawniej znało; niekiedy w ciągu jednej nocy z dzieci rozwijali się w całej swej krasie w dojrzałych i całkiem dorosłych. Nie było w tym nic z czarów, tylko ja tego nigdy przedtem nie doświadczyłem. Nigdy.

W pewnym dużym, bielonym domu, tuż nad morzem, spotkałem kogoś, kto na krótki czas zajął moją uwagę. Nie myślę już o niej tak bezustannie, przynajmniej nie teraz; tak, zapomniałem o niej zupełnie. Myślę za to o wszystkim innym, o krzyku ptactwa morskiego, o polowaniach moich w kniei leśnej, o moich nocach, o wszystkich tych upalnych chwilach lata. Zresztą poznałem ją całkiem przypadkowo i gdyby nie ów przypadek, nie powstałaby nigdy w mych myślach, nigdy, ani na chwilę.

Z chaty miałem widok na chaotyczny obraz wysp i kęp, i skał oraz na nieco morza i kilka błękitniejących szczytów górskich; a za chatą ciągnął się las, ogromny las. Uczuciem radości i wdzięczności przepełniał mnie przesycający powietrze zapach korzeni i listowia, i mocne, żywiczne wyziewy sosen; w lesie dopiero wszystko się we mnie uciszało, dusza się wygładzała i nabierała pełni mocy. Dzień w dzień wędrowałem przez wzgórza lesiste w towarzystwie Ezopa; wędrowki te były mi najmiłsze, mimo że śnieg pokrywał jeszcze okolicę, a tu i ówdzie zaczęły się już roztopy wiosenne. Ezop był mi towarzyszem jedynym; teraz mam Korę, ale wówczas miałem Ezopa, psa, któremu później palnąłem w łeb.

Często, kiedy wieczorem z polowania wracałem do chaty, przenikało mnie do głębi tajemne poczucie ciepła domowego, tak, budziło we mnie słodkie dreszcze, i wtedy chodziłem po izbie, i gadałem z Ezopem o tym, jak dobrze nam się powodzi. – Tak, teraz rozpalimy ogień i upieczemy sobie ptaka – mówiłem – cóż ty na to? – A kiedy już wszystko było gotowe i nasyciliśmy się obaj, Ezop włożył na swe legowisko za piecem, ja zaś zapalałem fajkę, kładłem się na chwilę na tapczanie i wsłuchiwałem się w głuchy szum lasu. Lekki podmuch wiatru szedł wprost na moją chatę i słyszałem wyraźnie klaskanie i szlifowanie głuszca, tokującego hen daleko na wzgórzach. Poza tym panowała zupełna cisza.

Niekiedy znów, rzuciwszy się na tapczan, zasypiałem w ubraniu i budziłem się dopiero na pierwszy krzyk ptactwa morskiego. Gdy następnie spojrzałem przez okno, mogłem być rozpoznać wielkie, białe gmachy dzielnicy handlowej, ładownie Sirilund, kramik, w którym kupowałem chleb, po czym leżałem jeszcze przez chwilę, zdziwiony, że znajduję się w chacie podłeśnej na dalekiej Północy.

Potem Ezop, tam na legowisku, potrząsnął swym długim, smukłym cielskiem, aż zaszczękała obroża, przeciągał się i ziewał, i ogonem merdał, i wtedy ja po śnie trzy-, czterogodzinnym zrywałem się wypoczęty i pełen radości, ciesząc się wszystkim, wszystkim.

Tak minęła niejedna noc.

II

Niechaj tam deszcz pada ulewny i huczy burza ognista – nic to. Nieraz i w dzień słotny jakaś mała, cicha radość opanować może człowieka i uszczęśliwić tak, że ze szczęściem swym ucieka od ludzi. Wtedy przystaje i patrzy przed siebie, raz po raz z cicha się śmieje i rozgląda się dokoła. O czym właściwie myśli? O szybie jasnej w pewnym oknie, o promieniu słonecznym na szybie, o widoku małego strumyka lub może o szczelinie błękitnej na niebie. Więcej nie trzeba.

Kiedy indziej zdarzenia, choćby nawet niezwykle, nie potrafią nami wstrząsnąć i wyrwać z nastroju mizernej powszedniości; można by znajdować się na sali balowej, wśród najweselszej zabawy, pozostając mimo to obojętnym, spokojnym i wolnym od wszelkich wpływów wesołości otoczenia. Właściwym bowiem źródłem smutku lub radości jest stan wewnętrzny osobnika.

Przypominam sobie pewien dzień. Przechadzałem się na brzegu morskim. Wtem nagle lunął deszcz, ukryłem się przeto w otwartej szopie rybackiej i usiadłem na chwilę. Zacząłem nucić, nie tyle z przypiływu jakiejś radości, ile dla zabicia czasu. Ezop był ze mną, usiadł i nastawił uszu. I ja przestałem nucić, i zacząłem nasłuchiwać. Słysząc głosy, zbliżają się szybko jacyś ludzie. Przypadek, najoczywistszy przypadek! Dwaj panowie i panienka wpadli na mnie z rozpędem. Nawoływali się wśród głośnego śmiechu:

– Prędko! Tu mamy doskonałe schronienie!

Wstałem.

Jeden z panów miał biały, miękki gors, rozmiękły nadto na deszczu i zwisający niby worek. W mokrym tym gorsie tkwiła spinka diamentowa. Na nogach miał długie, spiczaste trzewiki o wyglądzie nieco fircykowatym. Ukłoniłem się, był to pan Mack, kupiec; poznałem go w sklepie, gdzie kupowałem chleb. Raz nawet zaprosił mnie do siebie, ale nic wybrałem się do niego dotychczas.

– A, znajomek! – zawołał, spostrzegłszy mnie. – Byliśmy w drodze do młyna i musieliśmy zawrócić. Pieska pogoda, co? Ale kiedyż nareszcie zjawi się pan, panie poruczniku, u nas w Sirilund? – Przedstawił mi towarzysza swego, pana niskiego wzrostu i z czarnym zarostem, doktora, mieszkającego obok kościoła filialnego.

Panienka podniosła woalkę nieco powyżej nosa i zaczęła półgłosem gawędzić z Ezopem. Żakiet jej zwrócił moją uwagę, po podszewce i dziurkach poznałem, że farbowany. Pan Mack przedstawił mi ją również, była jego córką i na imię jej było Edwarda.

Edwarda rzuciła mi spojrzenie poprzez woalkę, po czym dalej szeptała do psa, czytając na jego obroży:

– Aha, to ty wabisz się Ezop... Doktorze, kto to był Ezop? Jedno, co sobie przypominam, to to, że pisał bajki. Czy nie był on Frygijczykiem? Nie, doprawdy nie wiem.

Dziecko, pensjonarka. Spojrzałem na nią, była wysoka, ale jeszcze nieforemna, mogła być mieć lat piętnaście albo i szesnaście; ręce miała długie i śniade, bez rękawiczek. Możliwe, że tego jeszcze popołudnia wertowała w encyklopedii, poszukując wiadomości o Ezopie.

Pan Mack wypytywał mnie o moje polowania. Na co najchętniej poluję? Jedna z jego łodzi może być stale do mojej dyspozycji, na każde moje zawołanie. Doktor nie odezwał się ani słowem. Kiedy towarzystwo ruszyło w dalszą drogę, zauważyłem, że doktor nieco utykał i wspierał się na lasce.

Wracalem do domu obojętny jak przedtem, z pustką w duszy i nucąc bezmyślnie. Spotkanie to w szopie rybackiej nie wywarło na mnie najmniejszego wrażenia; najwięcej utkwił mi w pamięci mokry od deszczu gors pana Macka z diamentową spinką, również mokrą i pozbawioną stąd silniejszego blasku.

III

W pobliżu mej chaty sterczał kamień, duży, szary głaz. Miał dla mnie wyraz życzliwości; zdawało się, jak gdyby mnie widział i poznawał, gdym koło niego przechodził. Rano, wychodząc o świcie, wybierałem najchętniej drogę koło kamienia i miałem wtedy uczucie, jakbym tam pozostawił przyjaciela dobrego, który oczekiwać będzie mego powrotu.

A na górze w lesie zaczynało się polowanie. Może ubiłem co, a może i nie...

Poza wyspą spoczywało morze w kamiennym spokoju. Stałem i spoglądałem na nie ze wzgórz, najczęściej ze szczytów najwyższych. W dni ciche statki prawie wcale naprzód się nie posuwały, nieraz przez trzy dni z rzędu widywałem ten sam żagiel, mały i biały niby mewa na wodzie. Czasami jednak, gdy zerwał się wiatr, góry w oddali znikwały i następowała burza, burza południowo-zachodnia, widowisko, które mnie pochłaniało. Wszystko tonęło we mgle. Ziemia i niebo zlewały się w jedno, morze harcowało w fantastycznym tańcu fal, tworząc postaci wojów, koni i postrzępione sztandary. Pod skałą stałem w miejscu zacisznym, a w głowie mej tłoczyły się myśli najróżniejsze i dusza trwała w napięciu. Bogu wiadomo – myślałem – jakich zjawisk jestem dziś świadkiem i czemu morze otwiera przede mną swe głębie. A może ujrzę teraz wewnątrz mózgu ziemi i zobaczę, jaka tam dokonuje się praca, jak wszystko wre. Ezop ujawniał niepokój, co chwila zadzierał pysk w górę i wietrzył, snadź burzę odczuwał w swych kościach i drżał nerwowo; ponieważ nie odezwałem się do niego ani słowem, przeto ułożył mi się między nogami i – podobnie jak ja – wpatrywał się w dal morską. I nie dochodził mnie znikąd żaden pokrzyk, żaden głos ludzki, nic, jeno szum groźny i nieustanny huczał dokoła mej głowy. W dali wychylała się z morza skała, stercząca sama jedna; morze uderzające o nią pięło się w górę niby śruba szalona, nie, raczej jak bóg morski, co z głębin swych się wychynął i na świat spojrział, parszając tak, że włosy i broda kręgiem stawały dokoła jego głowy. Po czym z powrotem zapadał w głębie fali.

A wśród burzy parowczyk mały, czarny jak węgiel, torował sobie drogę ku zatoce...

Gdy po południu zaszedłem na pomost, mały czarny parowczyk stał już w przystani; był to statek pocztowy. Tłumy ludzi zebrały się na nadbrzeżu, by przyjrzeć się rzadkiemu gościowi; zauważyłem, że wszyscy bez wyjątku mieli niebieskie oczy. Na uboczu stała młoda dziewczyna w białej wełnianej chustce na głowie; miała bardzo ciemne włosy, tak że biała chusta odbijała od nich szczególnie. Z zaciekawieniem spojrzała na mnie, na moje ubranie skórzane, na moją fuzję; kiedym do niej przemówił, zmieszała się i odwróciła głowę. Powiedziałem jej: – Powinna byś zawsze chodzić w tej białej chustce, ładnie ci w niej. – W tejże chwili przystąpił do niej mężczyzna barczysty w bluzie islandzkiej, nazwał ją Ewą. Była widocznie jego córką. Znałem go, był to kowal, kowal miejscowy. Przed kilku dniami założył nową panewkę do jednej z mych strzelb...

A deszcz i wiatr robiły swoje i roztapiały wszelki śnieg. Przez kilka dni unosił się nad ziemią nastrój zmienny, niespokojny i zimny, z trzaskiem spadały zmurszałe gałęzie, a wrony kracząc zbierały się w stada. Niedługo to trwało, słońce było blisko, pewnego poranku stanęło tuż za lasem. Kiedy słońce wschodzi, dreszcz słodki przenika mię od stóp do głów; z cichą radością zarzucam strzelbę na ramię.

IV

O zwierzynę w tym czasie nie miałem najmniejszego kłopotu. Strzelałem, com tylko zechciał: to zająca, to głąszca, to śniegułę. A gdy wypadkiem znalazłem się na dole na wybrzeżu i nawinał się jaki ptak wodny, strzelałem i do niego. Dobre to były czasy, dni stawały się coraz dłuższe, a powietrze coraz czystsze. Wyekwipowałem się na dwa dni i poszedłem w góry, na szczyty. Spotkałem Lapończyków pędzących renifery i dostałem od nich sera, małe, tłuste serki o smaku ziółkowym. Zachodziłem tam nieraz. A wracając ustrzeliłem za każdym razem jakiego ptaka i wrzucałem do mej torby myśliwskiej.

Usiadłem i wziąłem Ezopa na smycz. O miłą pode mną widziałem morze; ściany górskie były mokre i czarne od wody, która po nich ściekała, sącząc kroplę za kroplą, wciąż tę samą szemrząc cichutką melodię. Ta cicha melodia niejedną skracała mi godzinę, kiedy siedział w głębi gór i rozglądał się dokoła. Oto sączy się ten cichy, nieskończony ton w swej samotni – myślałem – i nikt go nie słyszy, i nikt o nim nie myśli, a on mimo to szemrze dla siebie samego po wszystkie czasy, bez końca, bez końca! I kiedy słuchał tego szelestu, góry nie wydawały mi się już tak całkowitym pustkowiem. Raz po raz coś się zdarzyło: to grzmot ziemią wstrząsnął, to bryła skalna oderwała się i potoczyła na dół do morza, znacząc swą drogę chmurką pyłu kamiennego; w tejsze chwili Ezop nastawił pysk pod wiatr i węszył niepojętą dla siebie woń spalenizny. Gdzie śnieg topniejący w skalach szczeliny wyłobił, tam wystarczy huk wystrzału albo nawet głośniejszy tylko okrzyk, aby spowodować oderwanie się i runięcie wielkiej bryły...

Minęła godzina, a może i więcej, czas mijał lak szybko. Spuściłem Ezopa ze smyczy, torbę przerzuciłem na drugie ramię i ruszyłem do domu. Dzień chylił się ku końcowi. Na dole w lesie natrafiłem na ścieżkę moją, od dawna znaną i nieuniknioną, ścieżynkę wąską o najdziwaczniejszych zakrętach. Nie omijałem żadnego z nich, miałem czas, nie miałem nikogo, kto by mnie w domu oczekiwał. Wolny jak władca kroczyłem przez cichy las, a szedłem tak właśnie, jak mnie się podobało. Wszystkie ptaki już zamilkły, jeno hen daleko grał głuszec, zawsze grał.

Wyszedłszy z lasu ujrzałem przed sobą dwoje ludzi, dwoje wędrowców. Dogoniłem ich. Jednym z nich była panna Edwarda, poznałem ją i ukloniłem się; towarzyszył jej doktor. Musiałem pokazać im strzelbę, obejrzelikompas i torbę myśliwską. Zapraszałem ich do chaty, obiecali odwiedzić mnie kiedyś przy sposobności.

I oto już wieczór. Wszedłem do swej chaty i roznieciłem ogień, upiekłem ptaka i spożyłem wieczerzę. Jutro będzie znowu dzień...

Spokój i cisza dokoła. Leżę późnym wieczorem i patrzę w okno. Blask czarodziejski zalewał o tym czasie pola i lasy, słońce zaszło i barwiło horyzont światłem soczystym, czerwonym, stężałem w swej nieruchomości niby oliwa. Niebo było wszędzie przeczyste. Wpatrzywszy się w ową jasność, miałem uczucie, że leżę twarzą w twarz z dnem świata i że serce me uderza dla niego tak żywo, jak gdyby tam było u siebie. Bóg jeden wie – pomyślałem – czemu dziś niebo przystroiło się w fiolety i złoto; a może jaka uroczystość odbywa się tam na górze, uroczystość w wielkim stylu, przy dźwiękach gwiazd i z przejażdżką łodziami po potokach niebios. Tak by być mogło! Zamknąłem oczy i uczestniczyłem również w owej przejażdżce łodziami, i myśl za myślą żeglowała poprzez mój mózg...

W ten sposób minął dzień niejeden.

Włóczyłem się po okolicy i przyglądałem się, jak śnieg przemienia się w wodę i jak pękają, lody. Bywały dni, kiedy miałem w chacie dostateczne zapasy żywności, wtedy nie wystrzeliłem nawet bodaj jednego naboju; włóczyłem się jeno w poczuciu swobody, bez celu i troski o mijający czas. Gdziekolwiek się zwróciłem, dużo było do obejrzenia i usłyszenia; wszystko ulegało codziennie drobnej zmianie, nawet wierzbina i jałowiec stały tam w oczekiwaniu wiosny. Zaszedłem, na przykład, dalej do młyna – stał jeszcze zakuty lodem, lecz ziemia dokoła niego wydeptana była od lat wielu i świadczyła, że ludzie przynosili tu na plecach wory zboża do zmielenia. Chodziłem tam jakby wśród ludzi, a na ścianach wydrapane były również litery liczne i daty.

Niech tam!

V

Czy mam pisać dalej? Nie, nie. Chyba cokolwiek jeszcze dla własnej przyjemności i dla zabicia czasu, by opowiedzieć, jak nadeszła wiosna przed dwoma laty i jak wyglądał kraj. Od ziemi i morza szły teraz zapachy, stare liście w lesie gnijące wydzielaly słodkawą woń siarkowodoru, a sroki uwijały się z gałkami w dziobkach i budowały gniazdka. Jeszcze kilka dni, a już strumienie wezbrały i zaczęły się pienić, tu i owdzie pokazał się bielinek, a rybacy wracali ze swych łowisk. Powróciły też oba żaglowce kupca pełne ryb i zarzuciły kotwice w pobliżu suszysk. Wtedy nagle wszczął się ruch i życie na wyspie największej, gdzie właśnie nastąpić miało suszenie ryb na skałach. Wszystko to widziałem z mego okna.

Do chaty jednak nie dochodziła najmniejsza wrzawa, byłem i pozostałem sam. Kiedy niekiedy przechodził ktoś mimo; ujrzałem Ewę, córkę kowala, miała już kilka piegów na nosie.

– Dokąd idziesz? – spytałem.

– Do lasu po drzewo – odparła cicho. W ręku miała powróż do wiązania drzewa, a na głowie białą chustkę. Patrzałem za nią, ale nie obejrzała się.

Potem minęło dni wiele, zanim znowu kogoś ujrzałem.

Wiosna posuwała się naprzód i las stawał się coraz jaśniejszy. Z pasją przyglądałem się drozdom, które na czubkach drzew siedząc, wlepiały swe oczy w słońce i gwizdały zapamiętałe. Czasem zachodziłem do lasu już około drugiej po północy, aby rozkoszować się owym radosnym nastrojem, jaki o wschodzie słońca wybuchał wśród ptactwa i zwierząt.

Wiosna wtargnęła zapewne i we mnie, krew moja tętniła chwilami jakoby jej tętnem. Siedziałem w chacie i myślałem, że należałoby przejrzeć wędziska i sieci, mimo to jednak nawet palcem nie tknąłem roboty – jakiś niepokój radosny i tajemniczy wędrował po moim sercu. Wtem Ezop się zerwał, stanął mocno i szcęknął. Jacyś ludzie zbliżali się do chaty, pospiesznie więc zrzuciłem czapkę z głowy; w tejsze chwili usłyszałem we drzwiach głos panny Edwardy. Przyszli odwiedzić mnie, jak obiecali, ona i doktor, mili i swobodni. Słyszałem, jak powiedziała:

– Owszem, jest w domu. – I weszła do izby, i podała mi dłoń w sposób na wskroś dziewczęcy. – Byliśmy tu i wczoraj, ale nie zastaliśmy pana – oświadczyła.

Usiadła na mym tapczanie, na derce i rozglądała się po izbie; doktor usiadł przy mnie na długiej ławie. Gawędziliśmy żwawo, papląc o wszystkim, między innymi opowiadałem im, jakie gatunki zwierzyny żyją w lesie i której zwierzyny nie strzelam obecnie ze względu na czas ochrony. Teraz był czas ochrony na głuszce.

Doktor i tym razem nie był zbyt szczodry w słowach; gdy jednak wzrok jego padł na mój rożek do prochu z figurką Pana na wierzchu, począł objaśniać mit o Panie.

– Ale – spytała nagle Edwarda – czymże się pan żywi, gdy dla wszystkiej zwierzyny nastanie czas ochrony?

– Rybą – odparłem. – Głównie rybą. Zresztą zawsze się coś znajdzie.

– Ależ pan mógłby przecie u nas jadać – rzekła. – W zeszłym roku zajmował pańską chatę pewien Anglik, jadał u nas bardzo często.

Edwarda patrzyła na mnie i ja patrzyłem na nią. I w tejsze chwili uczułem jakieś poruszenie koło mego serca, coś jakby cichuteńkie, przelotne, życzliwe pozdrowienie. Wiosna to sprawiła i dzień słoneczny; odtąd nieraz nad tym rozmyślałem. Oprócz tego podziwiałem jej łukiem zakreślone brwi.

Wypowiedziała kilka uwag o mym mieszkaniu. Ściany miałem poobwieszane różnymi skórami i skrzydłami ptaków; wewnątrz mej chaty podobne było do kosmatej nory niedźwiedziej. Bardzo się jej to podobało.

– Tak, to prawdziwa nora niedźwiedzia – powiedziała.

Nie miałem niczego do poczęstowania mych gości. Pomyślałem, czym mógłbym ich uraczyć, i postanowiłem dla żartu upiec ptaka; mieli go zjeść po myśliwsku, palcami. Mogło to dać niezłą zabawę.

I rzeczywiście upiekłem ptaka.

Edwarda opowiadała o Angliku. Był to człowiek stary i osobliwy, rozmawiał głośno sam z sobą. Był katolikiem i gdziekolwiek się ruszył, miał przy sobie w kieszeni mały modlitewnik z czarnymi i czerwonymi literami.

– A więc pewnie Irlandczyk? – zapytał doktor.

– Irlandczyk? – No tak, skoro był katolikiem?

Edwarda zaczerwieniła się i spuściwszy oczy, bąknęła:

– Może i był Irlandczykiem.

Od tej chwili straciła swą wesołość. Żał mi jej było i chcąc załagodzić drażliwość sytuacji, rzekłem:

– Ależ oczywiście, pani ma rację, że to był Anglik; Irlandczycy bowiem nie jeżdżą do Norwegii.

Umówiliśmy się, że wybierzemy się którego dnia łodzią, by zwiedzić suszyska skalne na wyspie...

Odprowadziwszy gości kawałek drogi, wróciłem do chaty i zabrałem się do naprawy przyborów rybackich. Kacierz mój wisiał na gwoździu przy drzwiach i stąd rdza uszkodziła parę oczek sieci; naostrzyłem kilka haczyków, przywiązałem je i obejrzałem włosienie. Jakże trudno dziś było zabrać się do czegokolwiek. Jakieś myśli niespokojne tłukły się po mej głowie; zdawało mi się, że popełniłem błąd straszny, pozwalając pannie Edwardzie siedzieć cały czas na tapczanie, zamiast poprosić ją do zajęcia miejsca na ławie. Nagle ujrzałem przed sobą twarz jej śniadą i śniadą szyję; fartuszek miała przewieszony, zgodnie z modą, nieco niżej, w celu przedłużenia talii; dziewiczy wdzięk jej wielkiego palca działał na mnie rozrzewniająco, a kilka zmarszczek nad kłykiem były pełne uprzejmości. Usta miała wydatne, płonące.

Wstałem, otworzyłem drzwi i nasłuchiwałem. Nie usłyszałem nic, bo zresztą nie było nic do nasłuchiwania. Więc zamknąłem drzwi z powrotem. Ezop zlął ze swego legowiska i śledził mój niepokój. Przyszło mi na myśl, że mógłbym pobiec za panną Edwardą i poprosić ją o parę nitok jedwabiu do naprawy kacierza. Nie byłby to przecież żaden wybieg, wszakże mogłem być zabrać z sobą sieć i pokazać jej uszkodzone oczka. Byłem już za drzwiami, kiedy przypomniałem sobie, że jedwab mam właściwie u siebie, w mym zbiorze much, że mam go więcej niż potrzeba. Wróciłem więc powoli i zniechęcony tym, że miałem u siebie jedwab.

Jakieś obce tchnienie powiało na mnie przy wejściu do chaty; gdym wszedł, nie byłem tam już sam jeden.

VI

Pewien człowiek zapytał mnie, czy już nie poluję; nie słyszał bowiem ani jednego strzału w lasach górskich, chociaż dwa dni już przeleżał w zatoce, łowiąc ryby. – Nie, nie polowałem, siedziałem w chacie, dopóki miałem co do jedzenia.

Trzeciego dnia poszedłem na polowanie. Las zazielenił się lekko, unosił się w nim zapach ziemi i drzew, dziki czosnek wypuszczał już zielone pędy spośród szerniałego zimą mchu. Głowę miałem nabitą myślami i odpoczywałem często. W ciągu trzech dni nie widziałem nikogo, prócz tego jednego człowieka, rybaka, którego spotkałem wczoraj. Pomyślałem, że może natknę się na kogo dziś wieczorem w drodze powrotnej na skraju lasu, tam gdzie ostatnio spotkałem doktora i pannę Edwardę. Możliwe, że pójdą znowu tamtędy na przechadzkę, może, a może i nie. Ale czemu właśnie o nich obojgu myślałem? Zestrzeliłem parę śniegu i jedną zaraz przyrządziłem, po czym wziąłem Ezopa na smycz.

Jedząc leżałem na suchym miejscu. Cisza na ziemi, jeno łagodny powiew wiatru ją przerywał i niekiedy głos ptaka. Leżałem i patrzałem na gałęzie kołyszące się leniwie w powiewie; cichy ten wietrzyk spełniał swoje zadanie, roznosząc pył kwiatowy od gałązki do gałązki i napełniając nim wszelkie niewinne blizny. Las cały stał jakby w zachwyceniu. Liszka zielona wędruje swymi kończynami wzdłuż gałązki, wędruje bezustannie, jak gdyby nie było wolno jej spocząć. Nie prawie nie widzi, chociaż ma oczy, często wyciągnie się w górę i maca w powietrzu jakby w poszukiwaniu czegoś, wygląda niby kawałek zielonej nici, szyjącej powolnymi ściegami obrąbek wzdłuż gałęzi. Do wieczora może zajdzie tam, dokąd jej przeznaczono.

Cisza trwa. Wstaję i idę dalej, siadam i znowu Wstaję. Jest około czwartej; o szóstej pójdę w stronę mej chaty i zobaczę, czy kogo nie spotkam. Mam jeszcze dwie godziny czasu, a już się cokolwiek niepokoję i strzepuję z ubrania wrzos i mech. Znam miejsca, obok których przechodzę, drzewa i kamienie stoją tam, jak stały, w samotni, suche liście szeleszczą pod moimi stopami. Monotonny szum i drzewa znajomki – to dla mnie aż nadto dużo, szczególna wdzięczność mnie przepęlnia, wszystko ze mną obcuje, jednoczy się ze mną, kocham wszystko! Siedząc tam i rozmyślając o swych sprawach, podnoszę jakąś leżącą u moich stóp suchą gałązkę i trzymam ją w ręce, i przyglądam się jej. Gałąź jest prawie całkiem spróchniała, mizerna jej kora wzrusza mnie, litość budzi się w sercu. Kiedy się więc dźwigam, by iść dalej, nie odrzucam gałązki od siebie, lecz kładę ją na ziemi i stoję nad nią, i lubuję się w niej; na koniec, w chwili opuszczenia jej, jeszcze raz na nią spoglądam – przez łyż.

I oto już godzina piąta. Słońce niedokładnie wskazuje mi czas; przez cały dzień wszakże szedłem ku zachodowi i wyprzedziłem może mój zegar słoneczny przy chacie o jakie pół godziny. Wszystko to biorę w rachubę; lecz mimo to do szóstej pozostaje jeszcze godzina. Przeważnie znowu się dźwigam i idę dalej. A listowie szeleści pod moimi stopami. I tak oto mija godzina.

Poniżej, tuż pod sobą, widzę potok i mały młyn, który zimną wodą był zamrożony, i zatrzymuję się; młyn jest w ruchu, huk jego budzi mnie, staję w miejscu i nagle: – Za późno – mówię głośno. Ból mnie przeszywa, natychmiast zawracam z drogi i idę do chaty, lecz jednocześnie wiem, wiem, że już za późno. Przyspieszam kroku, biegnę; Ezop rozumie, że to coś znaczy, szarpie smyczą, ciągnie mnie, skowyczy i bardzo mu pilno. Suche liście rozpryskują się dookoła nas. Kiedyśmy jednak zeszli na dół na skraj lasu, nie było nikogo, tak, wszędzie cicho, nie było nikogo.

– Nie ma tu nikogo! – powiedziałem. A przecie było tak, jak przewidywałem, nie gorzej.

Nie zatrzymując się dłużej, gnany wszystkimi myślami, podążyłem naprzód, minąłem chatę moją, zszedłem na dół do Sirilund wraz z Ezopem i z torbą myśliwską, i ze strzelbą, ze wszystkim.

Pan Mack przyjął mnie niezmiernie uprzejmie i zaprosił do wieczerzy.

VII

Przypuszczam, że coś niecoś umiem czytać w duszach otaczających mnie ludzi; ale może się myłę. O, bywają jednak dni, kiedy wydaje mi się, jakobym zajrzeć potrafił głęboko w dusze innych, jakkolwiek nie odznaczam się zbytnią bystrością umysłu. Siedzimy w izbie, kilku mężczyzn, kobiet kilka i ja, i mam wrażenie, że widzę, co w wnętrzu tych ludzi się dzieje i co o mnie myślą. Każdy błysk ich oczu mówi do mnie mową wyraźną: czasami krew nabiega nagle do ich lic i pąsowieją, innym znów razem udają, jakoby patrzeli w całkiem inną stronę, a tymczasem przyglądają mi się z boku. A ja sobie siedzę i widzę to wszystko, i nikt nawet nie przypuszcza, że przenikam głębi każdej duszy. Od lat wielu mniemałem, że umiem czytać w duszach wszystkich. Może jednak się myłę...

Cały wieczór spędziłem w domu pana Macka. Mogłem być odejść zaraz, przesiadywanie tam było dla mnie mało zajmujące; czyż jednak nie przyszedłem dlatego właśnie, że pchały mnie tam wszystkie moje myśli? I czyż mogłem być odejść zaraz? Po wieczery graliśmy w wista i popijaliśmy poncz; usiadłem plecami do izby i przechyliłem głowę; a za mną Edwarda wchodziła i wychodziła. Doktor odjechał do domu.

Pan Mack pokazywał mi mechanizm swych nowych lamp, pierwszych lamp naftowych przysłanych na Północ, wspaniałych okazów na ciężkich ołowianych podstawach; by zapobiec możliwemu wypadkowi, zapalał je sam ca wieczora. Kilka razy wspominał o swym dziadku, konsulu: – Dziadek mój, konsul Mack, otrzymał tę oto sprzączkę z własnych rąk króla Karola Jana – powiedział, wskazując przy tym palcem na spinkę diamentową. W jednej z izb bocznych pokazał mi portret swej zmarłej żony, była to dama dystygowana, w czepku koronkowym, uprzejmie uśmiechnięta. W pokoju tym stała również szafa z książkami, a między nimi znajdowały się i stare książki francuskie, które miały wygląd jakby odziedziczonych w spuściźnie; oprawy były ozdobne i złożone i wielu właścicieli uwieczniło na nich swe podpisy. Wśród książek szereg dzieł filozoficznych; pan Mack był człowiekiem myślącym.

Do wista przywołano obu jego subiektów. Grali powolnie i niepewnie, obliczali bardzo skrupulatnie, a mimo to popełniali błędy. Jednemu z nich pomagała Edwarda.

Przewróciłem moją szklanę, więc zerwałem się z miejsca, bardzo z tego powodu nieszczęśliwy.

– Ach, przewróciłem szklanę! – rzekłem.

Edwarda wybuchnęła śmiechem i odparła:

– Toż widzimy to wszyscy.

Wszyscy zapewniali mnie ze śmiechem, że to nic nie szkodzi. Podano mi ręcznik do starcia i graliśmy dalej. Wybiła jedenasta.

Podczas śmiechu Edwardy ogarnęło mnie jakieś nieokreślone uczucie niesmaku. Spojrzałem na nią i dostrzegłem, że twarz jej była całkiem bez wyrazu i mniej ładna. Pan Mack przerwał nareszcie grę pod pozorem, że obaj subiekci muszą iść spać. Potem rozparł się na kanapie i zaczął opowiadać, iż na fasadzie swego spichrza zamierza umieścić tablicę z napisem, i zapytał mnie o radę. Jakiego miałby użyć koloru? Byłem znudzony, rzuciłem więc bez namysłu: – Czarny – i pan Mack skwapliwie przywótórzył:

– Kolor czarny, akurat tak samo myślałem. „Magazyn soli i pustych beczek”, grubymi, czarnymi literami, tak, to będzie najnobliwiej... Edwardo; czy nie czas ci do łóżka?

Edwarda wstała, podała nam rękę na dobranoc i wyszła z izby. Zostaliśmy sami. Rozmawialiśmy o kolei żelaznej, ukończonej w roku zeszłym, o pierwszej linii telegraficznej. Bóg jeden wie, kiedy nareszcie tu na Północy dostaniemy telegraf!

Milczenie.

– Widzi pan – odezwał się znowu pan Mack – doczekałem się już lat czterdziestu sześcioro i powoli siwizna przyprósza mi głowę i wąsy. Tak, czuję, że już się zestarzałem. Pan widuje mnie za dnia i ma mnie za młodego, lecz gdy wieczór nadejdzie i ja sam zostaję, wtedy wszystkie siły mnie opuszczają. Wtedy ot, siedzę i kładę pasjanse. Przy pomocy małego szachrajstwa wychodzą z łatwością. Ha ha!

– Z pomocą małego szachrajstwa pasjanse wychodzą? – spytałem.

– Tak.

Zdawało mi się, jakoby mógł czytać z jęgo oczu...

Wstał i zwrócił się do okna, i wyjrzał na dwór; stał zgarbiony, kark i szyję miał kosmate. I ja wstałem. Odwrócił się i podszedł ku mnie w swych długich, nosatych butach. Włożył wielkie palce do obu kieszeni kamizelki i uderzał z lekka ramionami, jakby skrzydłami; jednocześnie uśmiechał się. Potem jeszcze raz zaofiarował łódź do mego użytku i podał mi rękę.

– Zresztą, pozwoli pan, że pójdę z panem – rzekł i zagaszył lampy. – Tak, chciałem jeszcze zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, jeszcze nie jest tak późno.

Wyszliśmy.

Wskazał drogę wiodącą w górę koło kowala i rzekł:

– Tędy najbliżej.

– Nie – odparłem – najkrótsza jest droga koło spichrzów.

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów w tej sprawie, ale bez skutku, nie mogliśmy się zgodzić. Byłem przekonany, że mam słuszność, i nie rozumiałem jego uporu. Na koniec zaproponowałem, by każdy z nas poszedł swoją drogą; kto znajdzie pierwszy, zaczeka przed chatą.

Ruszyliśmy. Za chwilę zniknął w lesie.

Szedłem zwykłym swym krokiem i obliczyłem, że powinienem dojść co najmniej o pięć minut wcześniej. Kiedy jednak zbliżyłem się do chaty, był już na miejscu. Z daleka już wołał:

– A widzi pan!? Tak, ja zawsze tędy chodzę, ta droga jest naprawdę najkrótsza.

Patrzyłem na niego zdumiony, nie był zgrzany ani zmęczony biegiem. Tak by się wydawało. Pożegnał się natychmiast, podziękował za miły wieczór i odszedł tą samą drogą, którą przyszedł.

A ja stałem i rozmyślałem: To dziwne! Powinienem przecie znać się na odległościach, a tymi drogami chodziłem już nieraz. Ej, kochasiu, znowu szachrujesz! A może wszystko to było po prostu komedią dla zamaskowania czegoś innego?

Ujrzałem znowu jego sylwetkę niknącą w lesie.

W tejże chwili poszedłem za nim ostrożnie i szybko. I dostrzegłem, jak bezustannie ocierał czoło i twarz, i teraz już nie miałem pewności, czy jednak nie biegł poprzednio. Teraz szedł już całkiem wolno, nie spuszczałem go z oka, zatrzymał się przed chatą kowala. Ukryłem się i ujrzałem, jak drzwi się otwarły i jak pan Mack wszedł do chaty.

Była pierwsza, poznałem to po morzu i po trawie.

VIII

Minęło kilka dni, jak zwykle – jedynym przyjacielem był mi las i wielka samotność. Boże mój, nigdy nie pożądałem samotności tak, jak pierwszego z tych dni. Wiosna była w pełni, na łące ukazały się gwiazdnice i krwawniki, przyleciały już zięby i sikory, znałem wszystkie ptaki. Raz po raz dobywałem z kieszeni dwie sztuki monet i brząkałem nimi, by przerwać ciszę. Pomyślałem sobie, jak by to było, gdyby tak zjawili się tu Dyderyk i Iselina!

Rozpoczął się okres panowania dnia, nocy już wcale nie było. Słońce zaledwie zanurzyło tarczę swoją w morzu, a już znowu wracało czerwone, odmłodzone, jakby schodziło po to tylko, by się napić. Nikt nie uwierzy, jakie dziwne wtedy przeżyłem noce. Nie siedziałże to Pan na jednym z drzew, podpatrując, co robię? A czyż nie miał brzucha obnażonego i kucał skurczony, tak jakby pił z własnego brzucha? Ale wszystko to czynił dlatego tylko, by zerkać na mnie spod oka. I całe drzewo zatrzęsło się od jego niemego śmiechu, kiedy spostrzegł, że wszystkie myśli moje się splątały. W lesie dokoła rozlegały się szelesty, zwierzęta węszyły, ptaki nawoływały się, pokrzyki ich przepędziały powietrze. I jednocześnie był to okres lotu chrabąszczy, furkot ich mieszał się z trzepotem ciem, brzmiało to niby szept, szept tu, Szept tam, szept szedł dokoła po całym lesie. Było czego słuchać! Przez trzy noce nie zmrużyłem oka, myślałem o Dyderyku i Iselinie.

Mogliby się zjawić – myślałem. Iselina zwabiłaby Dyderyka pod drzewo i powiedziałyby:

„Pozostań tu, Dyderyku, uważaj, czuwaj nad Iseliną, pragnę, aby myśliwy ten zawiązał mi rzemyk u sandała”.

A tym myśliwym jestem ja, i ona, ma się rozumieć, da mi znak oczyma. I gdy się zbliży, serce moje przeczuje wszystko i już nie bić będzie, ale łomotać. A ona pod szatką powiewną jest całkiem naga od stóp do głów i ja dotykam jej ręką.

„Zawiąż mi rzemyk!“ – mówi, a lica jej płoną. A niebawem szepce mi całkiem blisko w usta moje, w moje wargi: – „O, nie zawiążesz ty mego rzemyka, najdroższy, nie zawiążesz... nie zawiążesz mego...“

A słońce zanurza w morzu swoją tarczę i wyłania się z powrotem, czerwone, odmłodzone, jak gdyby zstąpiło po to tylko, aby się napić. A w powietrzu tajemnicze rozlegają się poszepty.

Po upływie godziny szepce mi do ust:

„Teraz muszę cię już opuścić“.

I odchodząc kiwa ręką na pożegnanie, a twarz jej płonie jeszcze, jest pełna czułości i zachwytu pełna. I jeszcze raz się odwraca, i śle mi ręką znak pożegnania.

Ale spoza drzewa wychodzi Dyderyk i mówi:

„Iselino, cóżeś ty uczyniła? Widziałem”.

A ona odpowiada:

„Dyderyku, coś widział? Nic nie uczyniłam”.

„Iselino, widziałem, coś uczyniła” – odzywa się ponownie. – „Widziałem”.

I w tejsze chwili, rozlega się w lesie śmiech jej dźwięczny i wesoły, Iselina odchodzi z Dyderykiem radosna i grzeszna od stóp do głów. I dokąd idzie? Do następnego myśliwego w lesie.

Była północ. Ezop zerwał się i pogonił na własną rękę, słyszałem szczekanie jego hen na wzgórzach i kiedym go nareszcie odłapał, była pierwsza.

Pastuszka jakaś pojawiła się na drodze, robiła pończochę i nucąc rozglądała się dokoła. Lecz gdzie ma swe stado? I czego szuka w lesie o północy? Niczego, niczego. Może niepokój ją tu zagnał, a może radość. Pomyślałem: Usłyszała szczekanie Ezopa i stąd wiedziała, że jestem w lesie.

Gdy nadeszła, wstałem i przyjrzałem się jej: jakaż ona szczupła i młoda. Również Ezop się podniósł i patrzył na nią.

– Skąd idziesz? – spytałem.

– Ode młyna – odparła.

Cóż jednak mogła być przy młynie o tak późnej porze?

– A nie boisz się chodzić nocą po lesie? – powiedziałem. – Taka mała jesteś i taka młodziutka.

Zaśmiała się i odrzekła:

– Nie jestem wcale taka młoda, mam lat dziewiętnaście.

Nie mogła jednak mieć dziewiętnastu, jestem przekonany, że dodała sobie dwa lata i miała tylko siedemnaście. Ale czemu w takim razie podawała się za starszą?

– Siadaj tu – rzekłem – i powiedz, jak ci na imię.

I zarumieniona usiadła koło mnie, i powiedziała, że na imię jej Henryka.

– A masz już jakiego umiłowanego, uścisnął cię już kiedy?

– Tak – odparła z uśmiechem zakłopotania.

– A ile razy?

Milczenie.

– Ile razy? – powtarzam.

– Dwa razy – szepnęła.

Przyciągnąłem ją ku sobie i zapytałem:

– A jak on to robił? Czy tak?

– Tak – szepnęła cała drżąca.

Była godzina czwarta.

IX

Rozmawiałem z Edwardą:

– Wkrótce będziemy mieli deszcz – zauważyłem.

– Która godzina? – spytała.

Spojrzałem na słońce i odparłem:

– Około piątej.

Spytała:

– Czy pan naprawdę umie tak dokładnie obliczyć czas według słońca?

– Owszem, dokładnie.

Milczenie.

– A gdy słońca nie ma, jak pan wtedy sobie radzi?

– Wtedy uciekam się do innych środków. Obliczam według przyprływu lub odpływu, według trawy, która pokłada się o pewnym czasie, poznaję też po zmieniającym się śpiewie ptaków; niektóre zaczynają śpiewać wtedy dopiero, kiedy inne milkną. Poznaję godzinę także po kwiatach, które zamykają się po południu, po liściach, których zieleń już to staje się jaśniejsza, już to ciemnieje; poza tym godziny po prostu wyczuwam.

– Ach tak – rzekła.

Spodziewałem się deszczu, dlatego nie chciałem zatrzymywać jej dłużej na drodze i zdjąłem czapkę. Wtem zatrzymała mnie niespodzianie nowym pytaniem, przeto nie odszedłem. Cała w pąsach zapytała po co właściwie tu siedzę, dlaczego poluję i czemu to, a czemu tamto. Wszakże ja strzelam tyle tylko, ile niezbędne do wyżywienia, i Ezop ma przy mnie pewnie bardzo dobre czasy?

Była w płomieniach cała i pokorna. Domyślałem się, że ktoś inny musiał o mnie coś mówić, że nie pytała z własnego popędu. Potem rozbudziła we mnie współczucie, wyglądała taka opuszczona, przypomniałem sobie, że jest sierotą bez matki, cienkie, wychudzone ramiona nadawały jej wygląd istoty zaniedbanej. Poruszyło mię to do głębi.

Owszem, owszem, nie strzelam, aby zabijać, lecz aby żyć. Na dziś potrzebna mi jedna cieciorka, dlatego nie upolowałem dwóch, a tylko jedną, jutro upoluję drugą. Po co mam strzelać więcej? Żyję w lesie, czuję się dzieckiem lasu. Pierwszego czerwca zaczyna się czas ochrony pardw i zajęcy, wtedy nie miałbym prawie nic pod strzał, ale wtedy też zajmę się rybactwem i będę żył rybami. W tym celu pożyczę od jej ojca łodzi rybackiej. Ale oczywiście, jestem myśliwym nie dlatego, aby polować, jeno ażeby żyć w lesie. Dobrze mi tam, jedząc obiad leżę na ziemi, a nie siedzę sztywno na krześle; nie przewracam szklanek. W lesie niczym się nie krępuję; jeśli zechcę, mogę położyć się na plecach i zamknąć oczy, i mogę też mówić tam wszystko, co tylko zechcę. Często ma się ochotę powiedzieć coś na głos i wtedy brzmi to niby mowa z głębi serca lasu...

Gdym ją zapytał, czy to rozumie, odpowiedziała – tak.

Mówiłem dalej, ponieważ oczy jej spoczywały na mnie.

– Gdyby pani wiedziała, co ja tam wszystko widuję – rzekłem. – Zimą krocę lasem i zdarza się, że spostrzegam na śniegu ślady pardw. Nagle ślady giną, ptaki wleciały w powietrze. Po śladach skrzydeł na śniegu rozpoznaję jednak, w którym kierunku odleciały, i wkrótce je odnajduję. Jest to dla mnie za każdym razem czymś nowym. Jesienią można obserwować gwiazdy spadające. I w samotni mej zastanawiam się nad tym, jakież świat tam zadygotał? Jakież świat runął na moich oczach? I to mnie, mnie właśnie było dane ujrzeć w moim życiu spadającą gwiazdę? A gdy nastanie lato, wtedy na każdym liściu spoczywa jakieś małe żyjątko. Przyglądam się im i dostrzegam, że niektóre nie mają wcale skrzydeł i ruszyć się nie mogą z miejsca, żyć muszą i umierać na tym małym listku, na którym przyszły na świat. Proszę to sobie wyobrazić. Czasami widuję niebieską muchę. Tak, wszystko to brzmi jak błahostka bez znaczenia i doprawdy nie wiem, czy pani mnie rozumie.

– Ależ naturalnie, rozumiem wszystko.

– Tak, tak. A czasami przyglądam się trawie, możliwe, że jednocześnie trawa przygląda się mnie, kto to może wiedzieć? Spoglądam na jedno sterczące źdźbło trawy i widzę, że cokolwiek drży, i to również – tak mi się wydaje – nie jest bez znaczenia. I myślę sobie: ono źdźbło trawy stoi tu oto i drży! A jeśli spotkam sosnę i jej się przyjrzę, to i ona, być może, posiada jaką gałąź, nad którą warto by się cokolwiek zastanowić. Ale niekiedy i ludzi spotykam w górach, i to się zdarza.

Spojrzałem na nią uważnie, stała pochylona naprzód i słuchała. Nie poznawałem jej. Zasłuchana była do tego stopnia, że całkiem już o sobie zapomniała, i wyglądała brzydko i głupio, dolna warga obwisła jej zupełnie.

– Ano – powiedziała prostując się.

Spadły pierwsze krople deszczu.

– Pada – rzekłem po chwili.

– Rzeczywiście, wyobraź pan sobie, pada – powiedziała i odeszła.

Nie odprowadziłem jej, poszła sama swoją drogą, a ja podążyłem na górę do swej chaty. Minęło zaledwie kilka minut, a deszcz lunął gwałtownie. Naraz słyszę, że ktoś za mną biegnie, przystaję i widzę Edwardę. Czerwona była od biegu i uśmiechała się.

– Na śmierć zapomniałam – powiedziała zadyszana. – Sprawa wycieczki do suszyska, na wyspę. Jutro przyjeżdża doktor, czy będzie pan miał czas?

– Jutro? Owszem. Tak, mam czas.

– Na śmierć zapomniałam – powtórzyła z uśmiechem.

Gdy odchodziła, zauważyłem jej zgrabne, ładne nogi, były zmazane wysoko. Trzewiki miała mocno przydeptane.

X

Pamiętam jeszcze dobrze pewien dzień. Był to dzień, z którym nadeszło moje lato. Słońce już w nocy zaczęło świecić i osuszyło do rana mokrą ziemię, po ostatnim deszczu powietrze było łagodne i czyste.

Po południu stawiałem się na pomoście. Morze było całkiem spokojne, od wyspy dochodziły nas śmiechy i rozmowy mężczyzn i dziewczyn zatrudnionych przy rybach. Radosne popołudnie.

Ba, czyż to nie było naprawdę wesołe popołudnie? Mieliśmy z sobą kosze z przekąskami i winem. Liczne towarzystwo rozdzieliło się na dwie łodzie, młode panienki były w jasnych sukienkach. Czułem się tak wesół, że nuciłem.

W łodzi siedząc, zastanawiałem się nad tym, skąd nagle wzięło się tyle młodzieży. Były córki wójta i lekarza obwodowego, kilka guwernantek, panie z plebanii, których nigdy przedtem nie widziałem; nieznanne, a mimo to tak przyjacielskie, jak gdybyśmy się znali już od dawna. Popełniłem, oczywiście, kilka niewłaściwości. Odwyłem po prostu od obcowania z ludźmi i zwracając się do młodych pań, mówiłem im często: „ty“, ale nie brano mi tego za złe. Raz nawet powiedziałem: „kochana“, czy też: „moja kochana“, ale i to mi darowano, zachowując się w ogólności tak, jak gdyby tego nie dosłyszano.

Pan Mack miał jak zwykle swój miękki gors z diamentową spinką. Zdawał się być w doskonałym humorze i wołał do siedzących w drugiej łodzi:

– Uważajcie, wariaty, na kosze z butelkami! Doktorze, pana czynię odpowiedzialnym za butelki!

Dobrze – odkrzyknął doktor. I już właściwie dwa te pokrzyki brzmiały mi w uszach hucznie i wesoło.

Edwarda była w tej samej sukience, co wczoraj, jak gdyby nie miała innej lub innej wziąć nie chciała. I trzewiki miała te same. Miałem wrażenie, że ręce jej niezupełnie są czyste, na głowie za to miała kapelusz całkiem nowy z piórami. Przyniosła z sobą farbowany żakiecik, by na nim siedzieć.

Na życzenie pana Macka wypaliłem z mej fuzji podczas lądowania, strzeliłem raz i drugi, po czym wykrzyknięto kilka razy: – Hura! Hura!

Powędrowaliśmy na wyspę, na skalne wzgórze. Ludzie, zajęci przy suszeniu ryb, witali nas wszystkich, a pan Mack wdał się w gawędę z swymi robotnikami. Znaleźliśmy margerytki i jaskry, które powkładaliśmy w butonierki; niektórzy z nas znaleźli dzwonki.

Niezliczone ptactwo morskie gęgało i krzyczało w przestworzach i na wybrzeżu.

Na polance, otoczonej kilku skarłowaciałymi sosnami o białej korze, rozłożyliśmy się obozem. Rozpakowano kosze, a pan Mack odkorkował butelki. Jasne suknie, oczy błękitne, brzęk szkła, morze, białe żaglowce. Także i śpiewaliśmy nieco.

I zapłonęły lica.

W godzinę później myśl moja jest pełna radości. Nawet drobnostki oddziałują, na mnie; nad czymś kapeluszem powiewa welonik, rozplatają się czyjeś włosy, dwoje oczu przymruża się w śmiechu i to wywołuje we mnie poruszenie. Ten dzień, och, ten dzień!

– Panie poruczniku, słyszałem, że pan ma chałupkę malusią, ogromnie zabawną?

– Owszem, gniazdko. Boże, jakże mi ono przyrosło do serca! Może (mnie pani łaskawa kiedy odwiedzi; moja chatka jest jedyna, drugiej takiej nie ma na świecie. A tuż za chatą rozciąga się wielki las.

Inna podchodzi i zapytuje uprzejmie:

– Pan po raz pierwszy tu na Północy?

– Tak, moje panie – odpowiadam. – Ale znam już wszystko. Nocami staję sam na sam z górami, ziemią i słońcem. Zresztą nie chcę wysilać się na jakąś tam górnołotność. Ale to lato, jakie wy tu macie!... Wystrzela w ciągu jednej nocy, kiedy wszyscy śpią, a rankiem już jest. Spoglądałem oknem i widziałem je na własne oczy. Mam dwa maleńkie okienka.

Zbliża się trzecia. Czaruje głosem swym i małymi rączkami. Jakież one wszystkie czarujące! Trzecia mówi:

– Zamienimy z sobą kwiaty? To przynosi szczęście.

– Owszem – odpowiadam i wyciągam rękę – zamienimy kwiaty i dziękuję pani. Jaka pani piękna, pani ma głos wręcz olśniewający, cały czas pani słuchałem.

Ona jednak cofa swe błękitne dzwonki i rzuca krótko a węzłowato:

– Co panu się zdaje? Nie do pana mówiłam.

A więc nie do mnie mówiła! Bolało mnie, że się pomyliłem; zateśkniłem znowu za swoją chatą, gdzie jeno wiatr do mnie przemawia.

– Przepraszam panią – rzekłem – i proszę o przebaczenie.

Inne panie spoglądają, na siebie i oddalają się, aby nie upokarzać mnie swoją obecnością.

Lecz w tejże chwili ktoś zbliżał się do nas szybkim krokiem, wszyscy spojrzeli, była to Edwarda. Podchodzi wprost do mnie, mówi coś, rzuca mi się na pierś, obejmuje szyję i usta moje zasypuje pocałunkami. Całuje i mówi coś, całuje i mówi, ale ja nie rozumiem, co mówi. Nie rozumiałem w ogóle, co się stało, serce mi bić przestało, widziałem tylko płonące jej oczy. A kiedy puściła, drobna jej pierś falowała gwałtownie. I stała tak ze swą śniadą twarzą i śniadą szyją, wysoka i smukła, z roziskrzonymi oczyma i nie dbająca całkiem o otoczenie; oczy wszystkich spoczywały na niej. Po raz drugi zachwyciły mnie jej brwi ciemne, wysokim łukiem rysujące się na czole.

Ależ, na Boga, to stworzenie całowało mnie wobec wszystkich!

– Panno Edwardo, co to ma znaczyć? – spytałem, i słyszę tętno mojej krwi, słyszę jej łomot w głębi gardła, tamujący moją mowę.

– Nic – odparła. – Ja tak chciałam. To nic nie znaczy.

Zdejmuję czapkę i machinalnie odgarniam włosy, stojąc jak wryty. „To nic nie znaczy?” – pomyślałem.

Wtem od drugiej strony wyspy rozlega się głos pana Macka; mówi coś, czego my nie rozumiemy, mnie jednak radością napętnia myśl, że pan Mack nie widział niczego, o niczym nie wie. Jak to dobrze, że teraz właśnie znajdował się na drugim końcu wyspy! To mi ulżyło. Łączę się z towarzystwem i mówię z uśmiechem, udając całkiem obojętnego:

– Bardzo państwa przepraszam za me niewłaściwe zachowanie się przed chwilą, sam jestem z tego powodu w rozpacz. Skorzystałem z chwili, kiedy panna Edwarda chciała zamienić ze mną kwiatek, by jej dokuczyć; proszę więc wszystkich o przebaczenie. Wstawcie się państwo w moje położenie: żyję jak odludek, odwykłem od towarzystwa kobiecego, na dobitkę piłem dziś wino, od czego również odwykłem. Bądźcie więc dla mnie wyrozumiali.

Śmiałem się i udawałem obojętność, aby zbagatelizować całe zajście i przejść nad nim do porządku dziennego, w głębi duszy jednak tryłem poważny. Słowa moje nie wywarły też na Edwardzie najmniejszego wrażenia. Wcale się z tym nie kryła, nie próbowała nawet zatrzeć wrażenia swej obcesowości. Przeciwnie, usiadła obok mnie i wpatrywała się we mnie bez przerwy. Raz po raz odezwała się do mnie. A kiedyśmy się później bawili we „wdówkę”, czyli „łapankę”, powiedziała głośno:

– Ja chcę porucznika Głahna. Za innym gonić nie warto.

– Do diabła, niechże pani milczy! – szepnąłem, tupnąwszy nogą.

Na twarzy jej przemknęło zdziwienie, z żalu skrzywiła nosem i uśmiechnęła się stropiona. Uczułem głębokie wzruszenie, nie mogłem się oprzeć temu wyrazowi zalęknienia w jej oku i w całej tej wiotkiej postaci, począłem ją miłować i długą, wąską ręką objąłem ręką swoją.

– Później! – rzekłem. – Na ten raz dosyć. Możemy się przecie jutro spotkać.

XI

W nocy słyszałem, jak Ezop podniósł się ze swego legowiska i warczał, słyszałem to przez sen. Ale ponieważ śniłem właśnie o polowaniu, przeto warkot ten należał poniekąd do mego snu i dlatego się nie zbudziłem. Kiedy zaś około drugiej nad ranem wyszedłem z chaty, spostrzegłem na trawie ślady dwóch stóp ludzkich; ktoś tu był, wpierw podszedł do jednego okna, a potem do drugiego. Ślady ginęły na drodze wiodącej niżej.

Szła naprzeciw mnie z twarzą płonąca i rozpromieniona.

– Czekał pan? – spytała. – Bałam się, by pan nie czekał.

Nie czekałem, zjawiała się na drodze przede mną.

– Dobrze dziś pani spała? – spytałem. Nie wiedziałem, o czym mówić.

– Nie, wcale nie, czuwałam – odparła. I opowiadała, jak to w nocy nie spała, jeno w krześle siedziała z zamkniętymi oczyma. Przez chwilę bawiła też poza domem.

– Ktoś chodził tej nocy koło mojej chaty – rzekłem.

– Dostrzegłem rano ślady na trawie.

Pąsowieje, tu na środku drogi chwytła mnie za rękę i milczy. Patrzę na nią i pytam:

– Czy to może pani była?

– Tak – odpowiada i przytula się do mnie. – To ja byłam. Ale chyba pana nie obudziłam, szłam możliwie najciszej. Tak, to ja byłam. Jeszcze raz byłam blisko pana. Ja pana kocham.

XII

Co dzień, co dzień ją spotykałem. Przyznaję, że spotykałem ją chętnie, więcej, serce moje rwało się do niej. Od tego czasu minęły już dwa lata, obecnie myślę o tym wtedy tylko, gdy zechcę, dziś bowiem cała ta awantura bawi mnie i weseli. A co się tyczy owych zielonych piór ptasich, wyjaśnię to niebawem.

Miejsc schadzek mieliśmy kilka; koło młyna, na drodze, a nawet w mojej chacie; przychodziła, gdzieś zechciała.

– Dzień dobry! – wołała zwykle pierwsza, a ja odpowiadałem: – Dzień dobry.

– Wesół dziś jesteś, śpiewasz i – mówi, a oczy jej skrzą się.

– Owszem, jestem wesół – odpowiadam. – Tam na ramieniu masz plamę, może z kurzu, a może z biota przydrożnego. Plamę tę pragnę ucałować, ależ pozwól ją ucałować. Wszystko, co twoje, rozrzewnia mnie, całkiem nieprzytomny jestem z powodu ciebie. Dzisiejszej nocy wcale nie spałem.

I to było prawdą, niejedną noc spędziłem bezsennie.

Przytuleni do siebie idziemy wzdłuż drogi.

– Jak sądzisz – mówi – czy zachowuję się tak, jak ty lubisz? A może papłę za wiele? Nie? Tak, ale powiedz to, co myślisz. Czasem zastanawiam się nad tym i myślę, że to może się źle skończyć...

– Co się ma źle skończyć? – spytałem.

– Z nami. To nie będzie dobrze. Czy uwierzysz, gdy tu w tej chwili idę, zimno mi; zimne dreszcze przebiegają mnie, kiedy tylko się do ciebie zbliżę. Z nadmiaru szczęścia.

– Tak, i ze mną dzieje się tak samo – odpowiadam – i we mnie budzą się dreszcze już na sam widok twój. A jednak wszystko będzie dobrze. Zresztą poklepię cię troszkę po plecach, żeby cię rozgrzać.

Niechętnie się na to godzi, uderzam nieco mocniej, z żartu, śmieje się i pytam, czy to pomogło.

– Ach, nie bądź taki dobry – mówi – i nie bij mnie więcej po plecach.

Tych kilka słów! Tak bezradnie to brzmiało, gdy mówiła: „Nie bądź taki dobry“.

Potem szliśmy dalej. Może niezadowolona z mego żartu? – zapytywałem sam siebie i postanowiłem: Przekonamy się. Rzekłem więc:

– W tej chwili przypomina mi się pewne zdarzenie. Raz podczas jazdy sankami siedziała ze mną pewna młoda pani, która zdjęła z siebie biały jedwabny szal i zawiązała go na mojej szyi. Wieczorem oświadczyłem jej: „Szal zwrócę pani jutro, dziś każę go wyprać“. – „Nie“, odpowiedziała, „proszę oddać mi teraz, chcę zachować go takim, jakim jest po użyciu przez pana.“ Wobec tego szal oddałem. Po Upływie trzech lat spotkałem znów ową panią. „A szal?“ spytałem. I przyniosła ów szal. Był zawinięty w papier i jeszcze wcale nie wyprany, widziałem go na własne oczy.

Edwarda spojrzała na mnie ukradkiem.

– Tak? I co dalej?

– Nic – odparłem. – Sądzę jednak, że był to rys bardzo ładny. Milczenie.

– A gdzie przebywa teraz owa pani?

– Za granicą.

Nie mówiliśmy więcej o tym. Przy pożegnaniu jednak rzekła:

– No, dobranoc. Ale teraz nie błąkaj się już po lesie i nie myśl o owej pani, dobrze? Ja o nikim nie myślę, tylko o tobie.

Wierzyłem jej, wiedziałem, że mówi to, co myśli, i było to dla mnie czymś aż nadto wielkim, że myślała wyłącznie o mnie. Poszedłem za nią.

– Dzięki ci, Edwardo – rzekłem. A następnie dodałem z głębi serca: – Zbyt dobra jesteś dla mnie, ale wdzięczny ci jestem za to, że mnie chcesz; niech ci Bóg to nagrodi. Nie jestem zapewne tak wspaniały, jak tylu innych, których byś mogła mieć na zawołanie, ale, na duszę moją nieśmiertelną, jestem twój, tak całkiem, tak bezgranicznie twój. O czym myślisz? Masz łzy w oczach.

– To nic – odpowiedziała. – Tak dziwnie to brzmiało, że Bóg ma mnie nagrodzić. Mówisz to tak, jak... Ja ciebie tak kocham!

Nagle rzuciła mi się na szyję, na środku drogi i całowała mnie gwałtownie.

Gdy odeszła, wśliznąłem się w las, aby się ukryć i być sam na sam ze swym szczęściem. I zaniepokojony wyskoczyłem ponownie na drogę, i rozglądałem się na wszystkie strony, czy nie podpatrywał mnie kto, dokąd wszedłem. Nie dostrzegłem jednak nikogo.

XIII

Noce letnie i milczące wody, i lasy nieskończenie ciche. Ani krzyku, ani odgłosu kroków na drogach, serce moje jakby ciemnego wina pełne.

Mole i ćmy wpadają bez szelestu przez okno, zwabione blaskiem paleniska i zapachem pieczonego ptaka. Z głuchym łoskotem uderzają o pułap, z furkotem przelatują koło uszu; aż mnie ciarki przechodzą, wreszcie siadają na białym rożku do prochu, wiszącym na ścianie. Przyglądam się im, siedzą drżące i patrzą na mnie, są to prządki, wiercielnice i mole. Uważam, że niektóre wyglądają niby bratki latające.

Wychodzę przed chatę i nasłuchuję. Nic, żadnego odgłosu, wszystko śpi. Powietrze rozmigotane od latających owadów, miriadami furkoczących skrzydeł. Tam na skraju lasu stoją paprocie i tojad. Kwitnie wrzos, Kocham drobne jego kwiecie. Dzięki ci, Boże, za każde widziane przeze mnie kwiecie wrzosu; były one niby maleńkie pąkówki róż na mej drodze i z miłości ku nim płaczę. Gdzieś tu w pobliżu kwitną dzikie goździki, nie widzę ich, ale zapach ich czuję. I teraz też w godzinach nocy rozwinęły się nagle w lesie duże, białe kwiaty, kielichy ich rozwarte, oddychają. A ćmy kosmate opuszczają się między liście i wywołują drżenie całej rośliny. Idę od kwiatu do kwiatu, są upojone, są to płciowo upojone kwiaty i widzę, jak dochodzą do upojenia.

Lekkie kroki, oddech człowieka, radosne „dobry wieczór”.

Odpowiadam, rzucam się na ziemię, obejmuję oba kolana i mizerną sukienczynę.

– Dobry wieczór, Edwardo! – powtarzam raz jeszcze, wyczerpany szczęściem.

– Jak ty mnie kochasz! – szepce ona.

– Jakże muszę być wdzięczny! – odpowiadam – Moją jesteś, a serce me cały dzień spoczywa we mnie milczące i tylko o tobie myśli. Na tej ziemi jesteś dziewczynką najpiękniejszą, a ja całowałem cię. Na samą myśl o tym, że cię całowałem, płonę z radości.

– A czemu właśnie dzisiaj wieczora mnie tak kochasz? – pyta.

Niezliczone były powody, już sama myśl o niej wystarczyła, ażeby ją pokochać. To spojrzenie spod wysoko na czoło zatoczonych brwi i ta śniada, śliczna cera!

– Jakże bym mógł nie kochać ciebie! – mówię. – Chodząc tu, dziękuję drzewu każdemu za to, że zdrowa jesteś i rześka. Razu jednego na balu spostrzegłem pewną pannę, która siedziała przez cały wieczór, bo nikt jej do tańca nie prosił. Nie znałem jej, ale twarz jej wywarła na mnie wrażenie. Przeto skłoniłem się przed nią: „Czy wolno prosić?” – „Nie”, potrząsnęła głową. – „Czy pani nie tańczy?” spytałem. – „Czy może pan sobie wyobrazić”, odparła, „że mój ojciec był bardzo przystojny, a matka moja doskonałą pięknnością i ojciec zdobył moją matkę szturmem. A ja jestem sparaliżowana.”

Edwarda spojrzała na mnie.

– Może usiądziemy? – zapytała.

Usiedliśmy we wrzosowisku.

– Wiesz, co przyjaciółka moja mówi o tobie? – rzekła. – Mówi ona, że masz spojrzenie zwierzęce i że patrząc na nią, doprowadzasz ją do wariactwa. Kiedy na nią patrzysz, to tak, jakbyś jej dotykał, powiada.

Dziwna radość zatrzepotała we mnie, kiedy tego słuchał, nie tyle ze względu na mnie, ile właśnie ze względu na Edwardę, i pomyślałem: Jedna tylko jest, na której mi zależy, a co ta jedna mówi o moim spojrzeniu? Zapytałem więc:

– Któraż to przyjaciółka?

– Tego nie powiem – odparła – ale to jedna z tych, które były z nami na suszysku, na wyspie.

– Aha – rzekłem.

I zmieniliśmy temat rozmowy.

– Ojciec mój wyjeżdża w najbliższych dniach do Rosji – powiedziała – i wtedy urzędę festyn. Czy byłeś już na Korholmach? Zabierzemy ze sobą dwa kosze wina, panie z plebanii też będą, wino dostałam już od ojca. Ale nie będziesz się już tak wpatrywał w moją przyjaciółkę? Powiedz, nie będziesz? Bo inaczej jej nie zaproszę. ...

I nie mówiąc więcej ani słowa, objęła mnie gwałtownie za szyję i wpatrzyła się we mnie, po prostu wpiła się we mnie swym wzrokiem. A oczy jej pociemniały całkowicie.

Zerwałem się nagle na równe nogi i w zamieszaniu zdołałem wypowiedzieć tyle tylko:

– Hm, to ojciec twój wyjeżdża do Rosji?

Czemuś się zerwał tak nagle? – spytała.

– Późno już, Edwardo – rzekłem. -V Białe kwiaty już się zamykają. Słońce wschodzi, zbliża się dzień.

Towarzyszyłem jej w drodze powrotnej przez las. A potem przystanąłem i patrzyłem za nią długo, długo. Daleko od wyży leśnej obejrzała się raz jeszcze i zawołała głosem stłumionym: – Dobranoc! – Po czym zniknęła mi z oczu. W tej samej chwili otwarły się drzwi izdebne kuźni, jakiś mężczyzna z białym gorsem wychylił się z nich, rozejrzał się dokoła, nasunął kapelusz więcej na czoło i podążył w stronę Sirilund.

Edwardy „dobranoc” brzmiało mi jeszcze w uszach.

XIV

Radość upaja. Daję strzał z mej strzelby i niezapomniane echo niesie od skały do skały, leci hen daleko na morze i uderza o ucho jakiego zaspanego sternika. Co jest właściwie przyczyną mojej radości? Myśl pewna, która mię nawiedza, pewne wspomnienie, dźwięk pewien w lesie, pewna istota. O niej myślę, zamykam oczy i staję bez ruchu na drodze, i myślę o niej. Liczę minuty.

Teraz mam pragnienie, więc piję z potoku. A teraz odmierzam sto kroków naprzód i sto kroków wstecz. Późno już – myślę.

Czyżby stanęło co na przeszkodzie? Minał miesiąc, a miesiąc to okres niewielki. Nic nie stało na przeszkodzie! Bogu jednemu wiadomo, że miesiąc ten był bardzo krótki. Ale noce, o, noce bywają niekiedy długie i wtedy bierze mnie chęć zanurzenia czapki w potoku i suszenia jej, aby tylko czas narzekania skrócić.

Czas obliczałem według nocy. Bywało, że nastąpiła noc, a Edwarda się nie stawiała, raz przez dwie noce była nieobecna. Dwie noce. Nic się nie stało, ja przecież miałem uczucie, jakoby szczęście moje osiągnęło już może swój punkt najwyższy.

I czyż naprawdę tak nie było?

– Słyszysz, Edwardo, jak niespokojny jest las dzisiejszej nocy? W kurhanie coś nieustannie chrobocze i wielkie liście drżą. Na coś widocznie się zanosi; ale nie o tym chciałem mówić. Śpiew ptaka słyszę tam na górze, to tylko sikorka; ale drugą noc już siedzi w tym samym miejscu i wabi. Czy słyszysz ów głos jednostajny, taki jednostajny?

– Owszem, słyszę. Czemu pytasz mnie o to?

– O, nic ważnego. Dwie noce tam już siedzi, dwie całe noce. To tylko chciałem powiedzieć... Dzięki ci, dzięki, kochana, że przysłałaś dzisiejszego wieczoru! Siedziałem tu i spodziewałem się ciebie wieczoru dzisiejszego lub jutrzejszego; radowałem się na twoje przyjście.

– I ja czekałam na tę chwilę. Myślę zawsze o tobie, nawet skorupy szklanki, którą niegdyś zbiłeś, pamiętasz? pobierałam i schowałam. Ojciec wyjechał dziś w nocy, i to mnie tłumaczy, że nie przysłałam, tyle miałam do pakowania, i o tym, i owym musiałam mu przypominać. Wiedziałam, że czekasz na mnie w lesie, więc pakując płakałam.

Ale dwie noce przecie minęły, pomyślałem, co w takim razie robiła pierwszej nocy? I czemu w jej oczach nie ma teraz tyle radości jak dawniej?

Minęła godzina. Sikorka na górze umilkła, las spoczywał bez ruchu. Nie, nie, nic nie zaszło, wszystko pozostało po dawnemu, przy pożegnaniu podała mi rękę i spojrzała na mnie z miłością.

– Jutro? – spytałem.

– Nie, jutro nie mogę – odparła.

Nie pytałem dlaczego.

– Jutro przecie odbędzie się nasz festyn – rzekła ze śmiechem. – Chciałam ci jeno sprawić niespodziankę, ale miałeś minę tak nieszczęśliwą, że musiałam ci już teraz powiedzieć. Byłabym cię zaprosiła listownie.

I kamień spadł mi z serca.

Odeszła, skinąwszy głową na pożegnanie.

– Zaczekaj, jeszcze jedno – rzekłem, nie ruszając się z miejsca. – Jak dawno temu, kiedy zgarnęłaś i schowałaś owe skorupki?

– Kiedy zgarnęłam owe skorupki?

– Tak, tydzień temu, czy może już dwa tygodnie?

– Owszem, zdaje się, że przed dwoma tygodniami. Ale czemu pytasz o to? Chociaż nie, wyznam ci prawdę, uczyniłam to wczoraj.

Wczoraj, a więc wczoraj jeszcze myślała o mnie! Teraz już wszystko w porządku!

XV

Wsiadliśmy do oczekujących nas dwóch łodzi. Śpiewaliśmy i gawędziliśmy. Korholmy leżały poza wyspami i sporo było trzeba czasu, aby tam dopłynąć. Przez całą drogę toczyła się między obu łodziami ożywiona rozmowa. Doktor był w jasnym ubraniu, tak samo jak panie. Nigdy jeszcze nie widziałem go tak rozbawionym; gadał dużo, zaniechał roli niemego słuchacza. Odniosłem wrażenie, że popił cokolwiek i stąd był taki wesół. Po wylądowaniu stanął pośrodku całego towarzystwa i kropnął mowę powitalną. Pomyślałem sobie: Patrzcie jeno. Edwarda poruczyła mu funkcję gospodarza.

Z paniami rozmawiał z najwyszukańszą grzecznością. W stosunku do Edwardy był miły i uprzejmy, często ją po ojcowsku upominał i jak dawniej, nieraz pouczał pedantycznie. Wspominając o jakiejś dacie, powiedziała:

– Urodziłam się w roku trzydziestym ósmym – na co on zapytał:

– Pani ma na myśli oczywiście rok tysiąc osiemset trzydziesty ósmy?

– A gdyby następnie była odpowiedziała: „Nie, rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy“, z pewnością by się nawet nie skrzywił, jeno by po raz drugi poprawił i rzekł: „To przecie błąd“. A kiedy ja się z czym odezwałem, słuchał uprzejmie i uważnie i nie pomijał mnie.

Jakaś panienska podeszła i przywitała się ze mną. Nie poznałem jej, nie mogłem jej sobie przypomnieć i wyraziłem kilka słów zdziwienia, z czego bardzo się śmiała. Była to jedna z córek pastora, podczas wycieczki naszej na suszysko zaprosiłem ją do mej chaty. Rozmawialiśmy z sobą przez chwilę.

Tak mija godzina jedna i druga. Nudzę się, popijam wino, które mi dolewają, i łączę się z wszystkimi, i ze wszystkimi gadam. Znowu popełniam jakieś głupstwa, znalazłem się na gruncie niepewnym i w danej chwili nie wiem, co odpowiedzieć na wyrazy uprzejmości; zdarza się, że odpowiadam bez sensu albo zgoła milczę, i tym się gryzę. Tam, przy wielkim kamieniu, który nam służy za stół, siedzi doktor i gestykuluje.

– Dusza! Co to jest dusza? – mówił. Córka pastora zarzuciła mu, że jest libertynem. – Dobrze, ale czyż nie wolno myśleć swobodnie? Wyobrażono sobie piekło jako gmach na dole pod ziemią, a diabła jako naczelnika biura. Otóż nie, on jest majestatem.

Pragnie z kolei zwrócić uwagę na obraz w ołtarzu kościoła filialnego:

– Figura Chrystusa, kilkoro Żydów i Żydówek, woda do wina; zgoda. Lecz Chrystus ma nad głową aureolę. A co to jest aureola? Żółta obręcz, spoczywająca na trzech włosach...

Dwie panie załamały ręce z przerażenia. Doktor jednak umiał sobie radzić, rzekł więc żartobliwie:

– Prawda, to brzmi okropnie? Przyznaję. Jeśli jednak to powtórzyć, powtórzyć dla siebie samego z siedem lub osiem razy i jeśli się nad tym jednocześnie cokolwiek zastanowić, wtedy nie będzie to brzmieć już tak strasznie... Czy wolno mi wznieść zdrowie pań!

I przed owymi dwoma paniami ukląkł w trawie, i kapelusza nie odłożył, lecz dzierżył go w lewej ręce wysoko w powietrzu i wypróżnił kielich, przechyliwszy w tył głowę.

Edwarda nie spuszczała z niego oczu, Stałem przy niej i zapytałem: – Zabawimy się dziś we „wdówkę“?

Przestraszyła się nieco i wstała.

– Niech pan pamięta, że teraz nie mówimy sobie „ty“ – szepnęła.

Wszakże nie powiedziałem wcale „ty“. I odszedłem.

Znowu mija godzina. Dzień ten stawał się nieznośnie długi. Dawno już byłbym odjechał, gdybym miał trzecią łódź. Ezop uwiązany w chacie, może myślał o mnie. Myśli Edwardy odbiegły z pewnością daleko ode mnie. Mówiła o szczęściu podróżowania do miejscowości nie znanych, policzki jej rozgorzały i w zapale powiedziała nawet nieprawdłowo:

– Nikt nie byłby bardziej szczęśliwszy ode mnie w dniu...

– Bardziej szczęśliwy – rzekł doktor.

– Jak? – spytała.

– Bardziej szczęśliwy.

– Nie rozumiem.

– Powiedziała pani „bardziej szczęśliwszy“, tylko o to idzie.

– Rzeczywiście? W takim razie przepraszam. Nikt nie byłby bardziej szczęśliwy ode mnie w dniu mego wyjazdu. Czasami tęsknię do miejscowości, o których nic nie wiem.

Marzyła o podróżach, o mnie wcale, nie myśląc. Patrzałem na nią i czytałem w jej twarzy, że o mnie całkiem zapomniiała. Ano, mniejsza o to: ja tu sam stoję i czytam to w jej obliczu. I minuty wlokły się rozpaczliwie wolno. Tego i owego zapytałem, czy, nie należałoby wracać do domu. – Późno już – przekonywałem każdego z osobna – a Ezop uwiązany tam, w chacie. – Nikt jednak nie chciał wracać.

Po raz trzeci podszedłem do córki pastora i pomyślałem sobie: wszakże to ta, która mówiła o moim zwierzęcym wzroku. Trąciliśmy się kieliszkami; miała oczy drgające, wiecznie latające, co na mnie spojrziała, zaraz uciekała wzrokiem gdzie indziej.

– Proszę, niech mi pani powie – rzekłem – czy ludzie w tych stronach nie są podobni do tutejszego krótkiego lata? Tak samo niestali i czarujący, jak ono.

Mówiłem głośno, i to całkiem celowo. I głośno też ponownie ją zapraszałem, aby mnie odwiedziła i obejrzała moją chatę.

– Bóg to pani nagrodzi – powiedziałem w swej udreće i namyślałem się jednocześnie, co bym jej mógł ofiarować, gdyby przyszła. Zdaje się jednak, że nie miałbym nic innego, jak tylko rożek do prochu.

I panienka obiecała przyjść.

Edwarda siedziała odwrócona, nie zważając na to, co mówiłem. Słuchała, co mówią inni, i raz po raz dorzucała jakieś słowo. Doktor wróżył paniom z ręki i gadał przy tym, gadał; sam zresztą miał ręce małe i wypieszczone oraz pierścionek na palcu. Czuję się tu zbyt cenny i usiadłem na kamieniu z dala od towarzystwa. Już dobrze po południu, a do końca zabawy jeszcze daleko. – I oto siedzę tu na kamieniu zupełnie samotny – powiedziałem sam do siebie – a jedyna istota, która by mogła mnie stąd odwołać, zezwala na to. Zresztą jest mi to obojętne.

Owładnęło mną bezkresne poczucie osamotnienia. Rozmowa tocząca się poza mną wwiercała się w uszy, gdy wtem usłyszałem śmiech Edwardy. Wtedy zerwałem się gwałtownie i podszedłem do towarzystwa. Rozdrażnienie poniosło mnie.

– Przepraszam na chwileczkę – rzekłem. – Kiedym tam siedział, przyszło mi na myśl, że może zechcielibyście państwo zobaczyć mój zbiorek much sztucznych. – Mówiąc to, wydobyłem książeczkę z bocznej kieszeni. – Wybaczenie, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Bądźcie tak dobrzy i przejrzyjcie ją, a zrobicie mi wielką przyjemność. Musicie wszystkie zobaczyć, są tam muszki zarówno czerwone, jak i żółte. – I mówiąc to, trzymałem czapkę w ręce. Wnet też zmiarkowałem, że zdejmując czapkę, postąpiłem głupio, przeto zadziałem ją z powrotem na głowę.

Na chwilę zapanowało głębokie milczenie i nikt po książkę nie sięgnął. Wreszcie jednak doktor wyciągnął rękę i rzekł dwornie: – Rzeczywiście, dziękuję, warto obejrzeć. Zawsze było to dla mnie zagadką, jak się takie muchy robi.

– Sam je robię – rzekłem, pełen dla niego wdzięczności. I zacząłem skwapliwie objaśniać, jak się to robi. – To takie proste, kupiłem pióra i haczyki... nie bardzo to udało, ale służą też dla mego tylko użytku. W składach można dostać muszki już gotowe i te są bardzo ładne.

Edwarda rzuciła obojętne spojrzenie na mnie i na książeczkę i dalej rozmawiała z przyjaciółkami.

– O, i materiał tu jest do roboty – rzekł doktor. – Proszę popatrzeć, co za ładne pióra.

Edwarda spojrzała.

– Te zielone są rzeczywiście ładne – powiedziała – proszę mi je podać, doktorze.

– Niech je pani zatrzyma – zawołałem. – Tak bardzo dziś o to proszę. Są to dwa zielone ptasie pióra. Dopraszam się tej łaski, niech je pani zatrzyma na pamiątkę.

Obejrzała je i rzekła:

– Zielone są i złociste, zależnie od tego, jak się je trzyma do słońca. Owszem, dziękuję bardzo, skoro mi pan je daruje.

– Tak, pragnę tego bardzo – rzekłem.

Schowała pióra za bluzkę.

Wkrótce potem doktor oddał mi książeczkę i podziękował. Po czym wstał i zapytał, czy nie czas by pomyśleć o powrocie do domu.

Podchwyciłem to z całą skwapliwością i rzekłem: – Owszem, na Boga, chodźmy. Wiecie państwo, mam psa w domu, ot, psa właśnie, który jest mi przyjacielem. Leży tam i myśli o mnie, a kiedy się zbliżam, staje przednimi łapami na oknie i wita mnie. Dzień był tak piękny i kończy się niebawem, więc jedźmy do domu. Dziękuję państwu, wszystkim równocześnie.

Czekałem na wybrzeżu, aby zobaczyć, którą łódź wybierze Edwarda, gdyż postanowiłem wsiąść do innej. Nagle zawołała mnie. Spojrzałem zdziwiony, twarz jej płonęła. I oto podeszła do mnie, podała mi rękę i rzekła z czułością:

– Dzięki za pióra... Proszę pana, przecież wsiadamy razem do tej samej łodzi?

– Jeśli pani sobie życzy – odpowiedziałem.

Wsiedliśmy do łodzi. Ona usiadła przy mnie na burtnicy, dotykając mnie kolanem. Spoglądałem na nią i ona również spojrzała na mnie przelotnie. Dotykając mnie swym kolanem, wyświadczyła mi dobrodziejstwo. Czułem się nagrodzony za ten dzień pełen goryczy i już zacząłem odzyskiwać wesołość, kiedy nagle zmieniła pozycję, odwróciła się do mnie plecami i nawiązała rozmowę z doktorem, siedzącym przy sterze. Przez okrągły kwadrans wcale dla niej nie istniałem. Wtedy popełniłem coś, czego żałuję i czego do dziś dnia nie zapomniałem. Z nogi jej spadł trzewiczek, chwyciłem go i rzuciłem daleko na fale. Uczyniłem to może w przystępie radości, iż siedziała blisko mnie, a może też chciałem się czymś zaznaczyć i przypomnieć jej, że istnieję, sam nie wiem. Wszystko odbyło się tak szybko, bez namysłu, pod wpływem jakiegoś niespodzianego kaprysu. Panie krzyknęły. Ja sam czułem się jakby sparaliżowany tym, com uczynił, ale cóż z tego? Stało się. Doktor pośpieszył mi z pomocą, wołając:

– Do wiosła, żwawo! – i jednocześnie nastawił ster w kierunku trzewika. Niebawem też wiosłarz pochwycił go, i to w chwili, kiedy trzewik napełniony wodą zniknął już pod powierzchnią. Wiosłarz zamoczył się powyżej ramion. Z obu łodzi rozległy się okrzyki: – Wiwat! – Trzewik uratowany.

Byłem srodze zawstydzony i osuszając trzewik chusteczką czułem, że twarz moja blednie, to czerwienieje, to się wykrzywia. Edwarda odebrała go w milczeniu. A dopiero po chwili odezwała się:

– Jeszcze mi się w życiu nic podobnego nie zdarzyło.

– Nigdy jeszcze, prawda? – powiedziałem również. Uśmiechałem się i nadrabiałem miną. Udawałem, jak gdyby sprawka ta miała swój powód, jakoby coś się za nią kryło. Cóż jednak mogło się być za tym ukrywać? Doktor spojrział na mnie po raz pierwszy lekceważąco.

Tak minęła dobra chwila, łódzie płynęły szparko, zły humor towarzystwa zniknął bez śladu, śpiewaliśmy, zbliżając się do przystani. Edwarda rzekła:

– Wiecie co, niewiele wypiliśmy dziś wina, dużo jeszcze pozostało. Urządzimy więc sobie później jeszcze jedną zabawę, nową zabawę z tańcami, bal u mnie w domu.

Po wylądowaniu prosiłem. Edwardę o przebaczenie.

– Jakże tęskno mi za moją chatą – rzekłem. – Dzień dzisiejszy był dniem udręki.

– Był to naprawdę dzień udręki dla pana, panie poruczniku?

– Sądzę – rzekłem – sądzą, że popsulem go zarówno sobie, jak i innym. Wszakże trzewiczek pani rzuciłem w morze.

– Tak, to był pomysł dość osobliwy.

– Przebacz mi, pani – powiedziałem.

XVI

Czy mogłoby się stać jeszcze co gorszego? Postanowiłem, że zachowam spokój, cokolwiek się zdarzy. Bóg mi świadkiem. Czyż to ja narzucałem się jej od samego początku? Nie, nigdy, nigdy; pewnego dnia powszedniego, kiedy przechodziła, stałem tylko na jej drodze. Cóż to za lato było tu na Północy! Loty chrabąszczy już ustały, a ludzie wydawali mi się coraz bardziej zagadkowi, lubo słońce oświecało ich dzień i noc. Czego wypatrywały ich oczy błękitne i jakie myśli tłoczyły się za ich dziwnymi czołami? Zresztą wszyscy razem byli mi obojętni. Zabrałem wędkę i łowiłem ryby przez dwa dni, przez cztery dni; noce jednak przepędzałem w chacie, z otwartymi leżąc oczyma...

– Od czterech dni już nie widziałem pani, Edwardo?

– Cztery dni, tak, to się zgadza. Ale widzi pan, miałam bardzo dużo pracy. Proszę, niech się pan sam o tym przekona.

Zaprowadziła mnie do świetlicy. Stoły wyniesione, krzesła ustawione wzdłuż ścian, wszystko inne poprzestawiane; świecznik wiszący, piec i ściany przystrojone fantastycznie wrzosem i czarnym materiałem, dobytym z kramu ojca. W narożniku stał fortepian.

Były to jej przygotowania do „balu“.

– Jak się panu podoba? – spytała.

– Nadzwyczajnie – odparłem. I opuściliśmy świetlicę.

– Teraz jednak małe zapytanie, Edwardo rzekłem.

– Czy pani całkiem już o mnie zapomniała?

– Nie rozumiem pana – odparła zdziwiona. – Czy nie widział pan, ile miałam roboty? Czy wobec tego mogłam była przyjść do pana?

– Nie – potwierdziłem – możliwe, że wobec tego pani przyjść nie mogła.

Byłem niewyspany i wyczerpany, słowa moje były czcze i chaotyczne, cały dzień czułem się nieszczęśliwy.

– Istotnie, wobec tego nie mogła pani oczywiście przyjść. Co ja to chciałem powiedzieć... słowem, coś się zmieniło, coś stanęło między nami. Tak. Ale z twarzy pani nie mogę wyczytać, co by to być mogło. Jakie dziwne pani ma czoło, Edwardo! Dopiero teraz to widzę.

– Ależ ja nie zapomniałam o panu! – zawołała rumieniąc się i nagle wsunęła rękę swoją pod moje ramię.

– Tak, tak. Możliwe, że pani nie zapomniała o mnie. A w takim razie sam nie wiem, co mówię. Jedno z dwojga.

– Jutro dostanie pan zaproszenie. Pan musi ze mną tańczyć. Och, jak my będziemy tańczyć!

– Odprowadzi mnie pani kawałek? – spytałem.

– Teraz? Nie, nie mogę – odparła. – Wkrótce przyjdzie tu doktor, ma pomóc mi w czymś i niejedno jeszcze jest do zrobienia. A więc uważa pan, że urządzenie sali balowej jest odpowiednie? Tylko niech pan nie przypuszcza...

Przed domem zatrzymała się bryczka.

– Jak to, doktor przyjeżdża dziś końmi? – spytałem.

– To ja posłałam po niego konie, pragnęłam...

– Oszczędzić jego chorą nogę, tak. Ano, pozwoli pani, że odejdę... A, dzień dobry, dzień dobry, doktorze. Cieszę się bardzo, że pana znowu spotykam. Zawsze zdrów i wesół? Mam nadzieję, że pan mi nie weźmie za złe, jeśli się stąd ulotnię.

Na dworze raz jeszcze się obejrzałem: Edwarda stała w oknie i patrzyła za mną. Rozsunęła firanki i trzymała je obu rękoma, by lepiej widzieć. Miała wyraz pełen zadumy. Wstrząsa mną radość wręcz śmieszna. Oddalam się szybko krokiem lekkim i z zamglonym okiem, a strzelba w rękę wydała mi się lekka, jak laseczka. Gdybym dostał Edwardę, stałbym się człowiekiem dobrym – pomyślałem. A wszedłszy w las, snułem dalej wątek swych myśli: Gdybym ją dostał, służyłbym jej wytrwalej niż ktokolwiek inny. I chociażby się okazała niegodna mnie, i chociażby miewała kaprysy, i żądała ode mnie niemożliwości, uczyniłbym wszystko, co w mej mocy, i radowałbym się tym, że jest moja... Przystanąłem, ukląknęłem, po czym w wielkiej pokorze i nadziei dotknąłem językiem kilku, ździebeł trawy przydrożnej, po czym znów wstałem, W końcu czułem się prawie zupełnie pewny siebie. Zmienione zachowanie się jej w czasach ostatnich miało swe źródło jedynie w jej temperamencie. Stała i patrzyła za mną, kiedy odchodził, stała w oknie i towarzyszyła mi wzrokiem, dopóki nie zniknąłem; cóż więcej mogła była uczynić? Taki zachwytną mną owładnął, że będąc głodnym, nie czułem tego.

Ezop pobiegł naprzód i niebawem zaczął szczekać. Podniosłem oczy – jakaś kobieta w białej chustce na głowie stała u węgła mej chaty. Była to Ewa, córka kowala.

– Dzień dobry ci, Ewo! – zawołałem.

Stała przy dużym, szarym kamieniu, cała w pąsach i z palcem w ustach.

– Czy to ty, Ewo? Co tobie? – spytałem.

– Ezop mnie ugryzł – odparła i lekliwie spuściła, oczy.

Obejrzałem jej palce. Sama się ugryzła. Przeczucie jakieś świta mi w głowie, więc pytam:

– Długo tu stoisz i czekasz?

– Nie, niedługo – odpowiedziała.

I nie mówiąc więcej ani słowna, wziąłem ją za rękę i wprowadziłem do chaty.

XVII

Wracalem jak zwykle z połowu ryb i tak jak stalem – ze strzelbą i torbą myśliwską – poszedłem na „bal“; jedno tylko było inne niż zazwyczaj: miałem na sobie najlepszy mój garnitur skórzany. Późno już było, gdym stanął w Sirilund; slyszalem, że w świetlicy już tańczono. Zaledwie się tam ukazałem, poczęto wołać: – Oto i nasz myśliwy, porucznik! – Kilku z młodszych otoczyło mnie, by zobaczyć moją zdobycz. Zastrzeliłem kilka ptaków morskich, tudzież złowiłem kilka wążuszków, Edwarda powitała mnie z uśmiechem, tańczyła, była zaczerwieniona.

– Pierwszy taniec ze mną! – powiedziała.

I tańczyliśmy. Obyło się bez nieszczęścia, co prawda zakręciło mi się w głowie, ale nie upadłem. Ciężkie moje buty łomotały nieco hałaśliwie, a słysząc to, postanowiłem nie tańczyć więcej, tym bardziej że pokaleczyłem świeżo pomalowaną podłogę. Jakże rad byłem, iż nie przytrafiło mi się coś gorszego.

Dwaj subiekci pana Macka także tam byli, tańczyli bardzo gruntownie i z namaszczeniem. Nawet doktor wykonywał z zapalem tańce wirowe. Oprócz tych panów było jeszcze czterech młodzieńców, synów państwa z sąsiedztwa katedry, pastora i lekarza obwodowego. Przybył też jakiś nie znany mi komiwojażer, który odznaczał się i ładnym głosem i nucił w takt muzyki; raz po raz zastępował panie przy fortepianie.

Nie pamiętam już jak minęły pierwsze godziny, natomiast przypominam sobie każdy szczegół z ostatniej części nocy. Słońce przez cały ten czas zalewało pokój czerwonym blaskiem, a ptactwo morskie spało. Podano wino i placek, rozmawialiśmy głośno i śpiewaliśmy, śmiech Edwardy dźwięczny i beztroski rozlegał się po pokoju. Czemu jednak nie obdarzyła mnie bodaj jednym słówkiem? Zbliżyłem się do niej; aby rzec jej jakie grzeczne słowa. Miała na sobie czarną suknię, prawdopodobnie od konfirmacji; wprawdzie wyrosła z niej znacznie, mimo to w tańcu wyglądała ładnie. To właśnie chciałem jej powiedzieć.

– Jakże w tej czarnej sukni... – zacząłem.

Ona jednak wstała, objęła wpół jedną z swych przyjaciółek i odeszła. Powtórzyło się to parę razy. Dobrze, cóż wobec tego począć? – pomyślałem. – Ale czemu w takim razie staje w oknie i smutno za mną spogląda, kiedy od niej odchodzę? Niech tam!

Jedna z pań wezwała mnie do tańca. W pobliżu siedziała Edwarda, dlatego odpowiedziałem głośno:

– Nie mogę, muszę zaraz odejść.

Edwarda spojrzała na mnie pytająco i rzekła:

– Odejść? O, nie, pan nie odejdzie.

Zdumiony czułem, jak moje zęby wbiły się w wargę. Wstałem.

– To, co pani mówi, panno Edwardo, wydaje mi się bardzo znamienne – mruknąłem i zwróciłem się ku drzwiom.

Doktor zagroził mi drogę i Edwarda również podbiegła.

– Niechże mnie pan źle nie zrozumie rzekła serdecznie. – Chciałam tym samym powiedzieć, iż mam nadzieję, że pan wyjdzie stąd jako ostatni, i to całkiem ostatni. Oprócz tego jest dopiero godzina pierwsza.... Proszę pana – dodała z promieniejącymi oczyma – pan dał naszemu wioślarzowi pięć talarów za to, że uratował mój trzewik od utonięcia. To-naprawdę nagroda za wysoka. – A mówiąc to, śmiała się serdecznie, zwrócona do całego towarzystwa.

Stałem jak wryty, rozbrojony i stropiony.

– Pani żartuje – powiedziałem. – Ja wioślarzowi pani nie dałem pięciu talarów.

– Naprawdę, pan mu nie dał? – Otworzyła drzwi do kuchni i przywołała parobka. – Jakubie, przypominasz sobie wycieczkę na Korholmy? Pamiętasz, wyłowileś wtedy mój trzewik, który wpadł do wody?

– Tak – odparł Jabub.

– Za uratowanie trzewika dostałeś pięć talarów?

– Tak, pani dała mi...

– Dobrze. Możesz odejść.

Co ma znaczyć ten fortel? – zastanawiałem się. – Czy pragnie mnie zawstydzić? To się jej nie uda, nawet się nie rumienię z tego powodu. Powiedziałem więc głośno i dobitnie:

– Muszę oznajmić wszem wobec, że zachodzi tu albo jakaś omyłka, albo też kłamstwo. Nawet mi przez myśl nie przeszło by dać wioślarzowi pięć talarów za pani trzewik. Być może, iż powinienem to był uczynić, dotychczas jednak tego nie uczyniłem...

– Wobec tego tańczymy dalej – rzekła, marszcząc brwi. – Czemu nie tańczymy?

Musi się z tego wytłumaczyć – powiedziałem sobie i wypatrywałem sposobności, aby ją zaczepić. Wyszła do pokoju sąsiedniego i ja udałem się za nią.

– Zdrowie pani – rzekłem i zamierzałem trącić się kieliszkiem.

– Mój kieliszek jest próżny – odparła krótko.

A przecież kieliszek jej był napelniony.

– Myślałem, że to pani kieliszek.

– Nie, to nie mój – rzekła i zwróciła się skwapliwie do swego sąsiada.

– W takim razie przepraszam – powiedziałem.

Różni goście zauważyli to drobne zajście.

Serce syczało mi w piersi; rzekłem więc gniewnie:

– Ale pani winna mi jeszcze pewne wyjaśnienie...

Zerwała się, chwyciła mnie za obie ręce i rzekła z naciskiem:

– Dobrze, ale nie dziś, nie teraz. Tak mi dziś smutno. Boże, jak pan na mnie patrzy! Niegdyś wszakże byliśmy przyjaciółmi...

Pokonany zawróciłem na miejscu i odszedłem do tańczących.

Niebawem nadeszła i Edwarda, stanęła obok fortepianu, przy którym siedział komiwojażer i grał coś do tańca. Twarz jej wyrażała w tej chwili jakąś głęboką troskę.

– Tak, ja nigdy nie uczyłam się grać – mówi i patrzy na mnie zagadkowo. – Gdybym przynajmniej to umiała!

Co miałem na to odpowiedzieć? Ale serce moje znów się ku niej rwało, przeto spytałem:

– Edwardo, czemu pani tak nagle posmutniała? Gdyby pani wiedziała, jak bardzo z tego powodu cierpię.

– Sama nie wiem, czemu – odparła. – Wiele się na to składa, wszystko. Ach, gdybyż ci ludzie już sobie poszli, wszyscy. Tylko pan nie; proszę pamiętać że pan ma wyjść stąd ostatni. I pod wpływem słów tych odżyłem na nowo, i oczy moje ujrzały światło w izbie pełnej słońca. Córka pastora zbliżyła się do mnie i zaczęła rozmowę. Pragnąłem, by oddaliła się stąd jak najprędzej, i dlatego zbywałem ją odpowiedziami lakonicznymi. Nie patrzyłem na nią rozmyślnie, wszakże to ona mówiła o moim zwierzęcym spojrzeniu. Zwróciła się do Edwardy i opowiadała, jak to pewnego razu za granicą, zdaje się, że w Rydze, jakiś pan napastował ją na ulicy.

– Szedł za mną krok w krok i uśmiechał się – opowiadała.

– Czyżby był ślepy? – wybuchłem, by przypodobać się Edwardzie. Jednocześnie wzdrygnąłem ramionami.

Panna zrozumiała od razu moje grubiaństwo i odpowiedziała:

– Tak, zapewne musiał być ślepy, skoro za taką starą i brzydką osobą, jak ja, biegał.

Uznania Edwardy jednak tym nie uzyskałem, przyjaciółkę swoją pociągnęła za sobą, szeptały coś i potrzasały głowami. Teraz już wszyscy mnie opuścili.

Mija jeszcze jedna godzina. Ptactwo wodne wśród skał nadmorskich zaczyna się budzić, jazgot jego wpada do nas przez otwarte okna. Nagła radość wstrząsnęła mną na odezwanie się tych pierwszych pokrzyków i zatęskniłem za szkierami.

Doktor odzyskał znowu dobry humor i ściągnął na siebie uwagę wszystkich, panie nie Opuszczały go ani na chwilę. Czyżby to był mój rywal? Pomyślałem jednocześnie o jego chromej nodze i nędznej figurce. Przyswoił sobie nowe zabawne przekleństwo – „do diabła ogoniastego“ – a ile razy je wypowiedział, wybuchałem zawsze głośnym śmiechem. W udręce mej strzeliło mi do łba popierać go z całych sił dlatego właśnie, że był moim rywalem. Z całą zaciekłością wysuwałem go na plan pierwszy – pan doktor tu i pan doktor tam – i nawoływałem: – Słuchajcież, co doktor mówi! – I przymuszałem się do głośnego śmiechu z jego powiedzeń.

– Kocham ten świat – mówił doktor – trzymam się życia rękoma i nogami. A gdy kiedyś umrę, mam nadzieję, że znajdę pomieszczenie wprost nad Londynem lub Paryżem, ażebym przez cały już czas, tak, przez cały czas wsłuchiwać się mógł w rozgwar, kankana ludzkości.

– Wspaniale! – krzyknąłem i krztusiłem się od śmiechu, jakkolwiek wcale nie byłem pijany.

Również i Edwarda zdawała się być zachwycona.

Kiedy goście zabierali się do wyjścia, zakradłem się do bocznego pokoiku, usiadłem i czekałem. Z zewnątrz ze schodów dochodziły mnie słowa pożegnania, jedno po drugim, także i doktor się pożegnał i poszedł. Niebawem wszystko ucichło. Czekałem, a serce biło mi jak młotem.

Edwarda powróciła. Ujrawszy mnie, przystanęła na chwilę zdumiona, po czym rzekła z uśmiechem:

– Aha, pan tu. Bardzo to uprzejmie, że pan do ostatka czekał. Lecz strasznie jestem zmęczona.

Stała w dalszym ciągu. Przeto i ja wstałem.

– Ano, przyda się pani teraz spoczynek. Przypuszczam, że zły humor już minął. Poprzednio była pani taka smutna i to mnie bolało.

– Minie to, gdy się wyśpię.

Nic już do powiedzenia nie miałem, więc zwróciłem się ku drzwiom.

– Tak, dzięki – za dzisiejszy wieczór – powiedziała i podała mi rękę. A kiedy zamierzała mnie odprowadzić, usiłowałem jej w tym przeszkodzić.

– Niechże się pani nie trudzi – rzekłem – to zbytuczne, doskonale sam potrafię...

Mimo to wyszła za mną. Stała na korytarzu i czekała cierpliwie, podczas gdy ja sięgałem po czapkę, fuzję i torbę myśliwską. Czyjaś laska stała w kącie, widziałem ją dokładnie, przyglądałem się jej długo i poznałem, była to laska doktora. Zauważywszy, czemu się tak przyglądam, zaczerwieniła się zakłopotana; z twarzy jej można było wyczytać, że jest niewinna i nic o lasce nie wiedziała. Długa chwila milczenia. Nagle zrywa się w niej wściekłe zniecierpliwienie i mówi głosem drżącym:

– To pańska laska. Proszę nie zapomnieć zabrać swej laski.

I podaje mi laskę doktora.

Patrzę na nią, trzyma wciąż jeszcze laskę przede mną, a ręka jej drży. Ażeby sprawę jakoś zakończyć, wziąłem laskę i postawiłem z powrotem w kącie. I rzekłem:

– To laska doktora. Nie pojmuję, jak kulawy człowiek mógł zapomnieć laski.

– Ach, kulawy, kulawy! – zawołała rozjątrzona i postąpiła o krok ku mnie. – Pan nie kuleje, nie; ale gdyby pan w dodatku jeszcze i kulał, wtedy by się pan nie mógł z nim w ogóle równać, tak, nie mógłby pan, nie mógłby pan się z nim równać. Tale!

Szukałem odpowiedzi, wszystko dokoła mnie runęło, czułem próżnię, milczałem. Z głębokim ukłonem wycofałem się poza drzwi i zszedłem ze schodów. Przed domem przystanąłem na chwilę zapatrzony przed siebie, po czym odszedłem.

Ano, zapomniał laski – myślałem sobie – i tą samą drogą powróci po nią. Nie chce, ażebym ja odchodził ostatni... Wlokłem się powoli drogą pod górę, rozglądając się bacznie przed siebie i za siebie. Na skraju lasu stanąłem. Nareszcie po półgodzinnym czekaniu ujrzałem doktora zdążającego w moją stronę; spostrzegł mnie i przyspieszył kroku. Zanim zdołał się odezwać, uchyliłem czapki, by go wybadać. I on uchylił kapelusza. Podszedłem ku niemu ostro i rzekłem:

– Wcale się nie kłaniałem.

Cofnął się o krok i wybałuszył na mnie oczy:

– Pan się nie kłaniał?

– Nie – powiedziałem.

Milczenie.

– Hm, zupełnie mi też obojętne, coś pan uczynił – odparł błędąc. – Wracam po laskę, której zapomniałem zabrać. - Cóż miałem na to odpowiedzieć? Zemściłem się jednak w inny sposób; wyciągnąłem przed nim fuzję, jak gdyby był psem, i zawołałem:

– Hop!

I gwizdnąłem na zachętę do skoku.

Przez krótką chwilę zmagał się z sobą; zacisnął usta i wlepił wzrok w ziemię, a twarz jego przybierała wyraz coraz to osobliwszy. Nagle spojrzął na mnie bystro, półuśmiech rozjaśnił mu lica i powiedział:

– Dlaczego właściwie pan to wszystko wyprawia?

Nie odpowiedziałem, ale słowa jego wywarły na mnie wrażenie.

Nagle podał mi rękę i rzekł głosem przytłumionym:

– Jak widzę, z panem coś nie w porządku. Gdyby mi pan powiedział, co to takiego, może mógłbym...

Opanowały mną wstyd i rozpacz, spokojne te słowa wytrąciły mnie z równowagi. Również i ja zapragnąłem mu się przysłużyć, więc objąłem go i zawołałem:

– Przebacz mi pan, proszę. Co by miało być ze mną nie w porządku? Wszystko w porządku, nie potrzebna mi pańska pomoc. Pan pewnie szuka Edwardy? Zastanie ją pan w domu. Ale radzę się pośpieszyć, bo inaczej gotowa się położyć, zanim pan zajdzie; sam widziałem, jak bardzo była zmęczona. Mówię panu to, co w tej chwili wiem najlepszego, najrzetelniejszą prawdę: zastanie ją pan, tylko trzeba się śpieszyć!

I odwróciłem się, i uciekłem, wielkimi krokami pędziłem przez las – do chaty.

Długą chwilę przesiedziałem na tapczanie, w tym samym usposobieniu, w jakim przybiegłem, z torbą myśliwską na ramieniu i fuzją w ręce. Dziwaczne myśli snuły mi się po głowie. Dlaczego właściwie zdradziłem się przed doktorem? Złościło mnie, że wziąłem go w objęcia i patrzyłem na niego zażawionymi oczyma; będzie się tym bawił – myślałem – a może nawet w tej chwili siedzą tam we dwoje z Edwardą i śmieją się ze mnie. Pozostawił laskę w przedpokoju. Ano, gdybym w dodatku jeszcze kulał, wtedy bym się nie mógł z doktorem równać, nie mógłbym się z nim w ogóle równać. Tak powiedziała...

Staję na środku izby, odwodzę kurek fuzji, otwór lufy przykładam do przegubia lewej nogi i pociągam za cyngiel. Kula przebija mi stopę i więźnię w podłodze. Ezop wystraszony zrywa się z krótkim skowytym.

W chwilę potem rozległo się stukanie do drzwi.

Był to doktor.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzam – rozpoczął. – Tak szybko pan odszedł, pomyślałem więc, że nie zaszkodziłoby, gdybyśmy cokolwiek z sobą pogadali. Ale coś mi się zdaje, że tu czuć prochem?

Był najzupełniej spokojny i wewnętrznie opanowany.

– I cóż, zastał pan Edwardę? I laskę pan dostał? – zapytałem.

– Tak, laskę dostałem. Ale Edwarda już spała... Cóż to takiego? Ależ na miłość boską, pan przecie broczy?

– Ech, nic wielkiego. Zamierzałem odstawić fuzję i wypaliła. Nic wielkiego. A zresztą, do stu diabłów, z jakiej racji mam się tu przed panem spowiadać ze wszystkiego?... Aha, ale laskę pan wy dostał?

Stał jak wryty, nie odwracając oczu od przestrelonego buta, z którego Wyciekała krew. Nagle szybkim ruchem odstawił laskę i zdjął rękawiczki.

Proszę siedzieć spokojnie, but trzeba zdjąć. A więc jednak nie myliłem się, słyszałem strzał.

XVIII

Jakże później żałowałem tego wariackiego strzału! Rzecz cała nie była tego warta, i nie przydała się też na nic, a uwięziła mnie tylko w chacie na kilka tygodni. Wszelkie gniewy i nieprzyjemności stają mi jeszcze żywo przed oczyma; praczka moja musiała codziennie przychodzić do mej chaty i prawie stale tu przebywać, czynić zakupy i prowadzić moje gospodarstwo. Minęło tak wiele tygodni. Ano, stało się!

Pewnego dnia doktor zaczął opowiadać o Edwardzie. Słyszałem jej imię, słyszałem, co mówiła i co robiła, ale wszystko to nie miało już dla mnie głębszego znaczenia, zupełnie, jak gdyby opowiadał o czymś bardzo obcym, o czymś bardzo mi obojętnym. Jakże szybko można zapomnieć! – zastanawiałem się zdumiony.

– No, skoro pan już zaczął, co pan właściwie sądzi o Edwardzie? Bo ja, dalibóg, od kilku tygodni nie pomyślałem o niej ani razu. Ale zaraz, mam wrażenie, jakoby coś tam było między wami. Tak często przebywaliście razem, podczas zabawy na wyspie pan był gospodarzem, a ona gospodynią. Nie zapieraj się pan, doktorze, coś tam było, pewne porozumienie. Ależ nie, na Boga, nie odpowiadaj pan, pan nie ma przecie obowiązku tłumaczenia się przede mną, nie, nie pytam się, by się czegoś dowiedzieć. Jeśli pan sobie życzy, mówmy o czym innym. Kiedyż mi będzie wolno chodzić?

Siedziałem i rozmyślałem nad tym, co powiedziałem. Czemuż w głębi serca czułem lęk przed wynurzeniami doktora? Co mnie obchodziła Edwarda? Zapomniałem o niej.

Również i później kiedyś zgadaliśmy się o Edwardzie, i znowu przerwałem doktorowi. Bóg jeden wie, czego usłyszeć się obawiałem.

– Czemu mi pan przeszkadza? – zapytał. – Czy pan nie może ścierpieć, gdy ja o niej wspominam?

– Powiedz mi pan – odparłem i – co pan właściwie sądzi o panie Edwardzie? Bardzo mnie to interesuje.

Spojrzał na mnie nieufnie.

– Co ja sądzę?

– Może ma pan dla mnie jaką nowinę, może się pan oświadczył i uzyskał jej zgodę? Czy mogę panu pogratulować? Nie? Ano, diabli wiedzą, czy wierzyć panu, ha ha ha.

– Aha, więc tegoś się pan obawiał?

– Obawiał? Ależ doktorze!

Milczenie.

– Nie, nie starałem się o nią i nie otrzymałem jej zgody – odezwał się. – Może pan to uczynił. O Edwardę starać się nie można, ona weźmie tego, kogo sama zechce. Czy pan ma ją za pospolitą dziewczkę wiejską? Spotkałeś ją pan tu na dalekiej Północy i widziałeś chyba sam najlepiej. Jest to dziecko, które za mało brało różeg, i kobieta pełna kaprysów. Zimna? Zbyteczna obawa. Gorąca? Lód, mówię panu. Czymże więc jest? Dziewczynką szesnasto-, siedemnastoletnią, prawda? Lecz Spróbuj pan tylko na tę dziewczynkę wpływać w jaki bądź sposób, a wyszodzi wszelkie pańskie wysiłki. Nawet ojciec nie może sobie z nią poradzić; pozornie go słucha, a w rzeczywistości nim rządzi. Twierdzi ona, że pan ma spojrzenie zwierzęce...

– Myli się pan, inna to powiedziała, że mam zwierzęce spojrzenie.

– Inna? Co za inna?

– Tego nie wiem. Jedna z jej przyjaciółek. Nie, Edwarda tego nie powiedziała. Chociaż, kto wie, a może to istotnie Edwarda?

– Przyznała, że gdy pan na nią patrzy, wywiera to na niej pewne wrażenie. Ale czy pan sądzi, że to przybliży ją ku panu choćby o włos? Akurat! Wpatruj się pan w nią, ile zechcesz, nie szczędząc przy tym siły swego wzroku; skoro tylko zmiarkuje, że zaczyna panu ulegać, od razu sobie pomyśli: „Widzicie go, stoi, wlepią we mnie oczy i przypuszcza, że już zwyciężył!” Po czym odpowiednim spojrzeniem albo słówkiem lodowatym odpędzi pana za dziesiątą granicę. Nie wierzy pan, że ją znam? Jak się panu zdaje, ileż ona może mieć lat?

– Wszakże urodziła się w trzydziestym ósmym.

– Głupstwo. Dowiadywałem się o to dla żartu. Ma lat dwadzieścia, a równie dobrze, mogłaby mieć piętnaście. Nie jest to stworzenie szczęśliwe; bynajmniej; dużo sprzeczności wiruje w jej główce. Kiedy na przykład zamysłona patrzy na góry, na morze, a na ustach jej zjawi się tu wyraz taki, a taki skurcz bolesny tu, wtedy jest nieszczęśliwa; ale za dumna jest i zbyt przekorna, by płakać. Niemało przy tym awanturnicza, ma fantazję niepohamowaną, czeka na królewicza. A jakże to było z pewnym banknotem pięciotalarowym, który pan rzekomo ofiarował?

– Zwykły żart. Nic takiego...

– Przeciwnie, to było coś. Podobnie niegdyś i ze mną postąpiła. Było to przed rokiem. Zaszliśmy na pokład stojącego tu statku pocztowego. Deszcz siąpił i było zimno. Na pokładzie kobieta jakaś siedzi z małym dzieckiem i ziębnie. Edwarda zwraca się do niej z zapytaniem: „Czy wam nie zimno?” – „Tak, zimno.” – „A czy i maleństwu zimno?” – „Owszem, dziecku także zimno.”

– „Czemu w takim razie nie zejdzie do kajuty?” – zapytała Edwarda. „Mam miejsce tylko na pokładzie” – odpowiedziała kobieta. Edwarda patrzy na mnie i mówi: „Ta kobieta ma miejsce tylko na pokładzie”. Cóż na to poradzić? – odpowiadam w myśli. Ale rozumiem wzrok Edwardy. Nie urodziłem się bogaczem, pracą własną wybiłem się z niczego i liczę się z tym, co wydaję. Odsuwam się więc od kobiety i myślę. Jeśli kto ma płacić za ową kobietę, to chyba Edwarda, ona i ojciec jej mają więcej ode mnie. I rzeczywiście, Edwarda sama zapłaciła. Pod tym względem jest Wspaniałomyślna i bezwarunkowo nie pozbawiona serca. Ale ona, jak tu siedzę, spodziewała się, że to ja wykupię kajutę dla owej kobiety i dziecka, wyczytałem to z jej spojrzenia. I cóż dalej się stało? Kobieta, wstała i dziękowała za tę wspaniałą pomoc. „Proszę nie mnie dziękować, lecz temu oto panu“ – odparła Edwarda, wskazując z całym spokojem na mnie. I co pan na to? Słyszę, że kobieta i mnie dziękuje, a ja nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, pozostawiam rzecz swemu biegowi. Widzi pan, oto jeden przykład charakterystyczny, ale mógłbym ich więcej przytoczyć. A co się tyczy owych pięciu talarów, to sama je wypłaciła przewoźnikowi. Gdyby to pan był uczynił, byłyby się panu rzuciła na szyję. Powinien się pan był okazać magnatem, dopuszczającym się podobnej lekkomyślnej rozrzutności dla przydeptanego trzewika, byłoby to odpowiadało pojęciu, jakie sobie uroiła. A ponieważ pan tego nie uczynił, zrobiła to sama w pańskim imieniu. Taka ona, nierozsądna, a zarazem wyrachowana.

– Czyż więc nikt jej nie potrafi pozyskać? – spytałem.

– Należałoby ją wziąć w cugle – odparł doktor wymijająco. – Zgoła fałszywie, gdy pozostawia się jej zbyt wiele swobody, tak aby mogła robić, co chce, i gdy ulega się wszelkim jej kaprysom. Wszyscy zaprzętają sobie nią głowę, nikt nie okazuje jej choćby szczypty obojętności i zawsze jest ktoś pod ręką, na kim może wywrzeć swój wpływ. Czy zauważył pan, jak ja ją traktuję? Jak pensjonarkę, jak dzieciaka. Krytykuję ją, poprawiam jej wyrażenia, czatuję po prostu na każdą sposobność, by zapędzić ją w kozi róg. Sądzi pan, że ona tego nie rozumie? Ho, ambitna z niej sztuka i harda, odczuwa to boleśnie, ale zbyt ambitna, by się do tego przyznać. Tak jednak powinno by się z nią postępować. Kiedy pan przybył, miałem ją w ryzach już ód roku; sposób mój zaczął działać, płakała z żalu i złości, ale stawała się człowiekiem rozsądniejszym. I wtedy pan się zjawił, i wszystko przepadło. Taka to sprawa, gdy jednemu wymknie się z ręki, chwytą ją drugi; po panu przyjdzie prawdopodobnie trzeci, któż to może przewidzieć?

Oho, doktor mści się za coś – pomyślałem i rzekłem:

– Powiedźże mi też, doktorze, czemu pan zadał sobie tyle trudu i przykrości, by mi wszystko to opowiedzieć? Czyż mam panu pomóc w poskramianiu Edwardy?

– Zresztą gorąca jest jak wulkan – ciągnął dalej, nie zważając na moje pytanie. – Pytał się pan, czy nikt nie zdoła jej pozyskać. Owszem, czemuż by nie? Czeką ona na swego królewicza, który się nie zjawia. I to jest powodem ustawicznych jej zawodów i rozczarowań. Łudziła się również, że pan jest tym królewiczem, zwłaszcza że pan ma spojrzenie zwierzęce, ha ha. Wie pan co, poruczniku, na wszelki wypadek powinien pan być przywieźć z sobą mundur. Miałoby to swoje znaczenie. Czemuż by jej nie miał kto zdobyć? Widziałem, jak załamywała ręce w oczekiwaniu tego, który by tu przyszedł, ją uprowadził i zapanował nad ciałem jej i nad jej duszą. Tak. Ale musiałby przybyć z daleka, wypłynąć pewnego dnia jako coś niezwykłego. Mam wrażenie, że pan Mack wyruszył na jakąś wyprawę, i to nie bez kozery. Już dawniej kiedyś odbył taką podróż i powrócił w towarzystwie pewnego gościa.

– W towarzystwie gościa?

Ach, ale na niewiele się przydał rzekł doktor, śmiejąc się boleśnie. – Był to człowiek w moim wieku, utykał tak samo jak ja. Nie był on owym księciem.

– A dokąd on pojechał? – zapytałem, utkwivszy oczy w doktorze.

– Dokąd pojechał? Stąd? Nie wiem – odparł stropiony. – No, ale zbyt długo się na tym zatrzymujemy. Za tydzień może pan zacząć chodzić. Do widzenia!

XIX

Słyszę głos kobiecey przed moją chatą, krew uderza mi do głowy – to głos Edwardy.

– Dowiaduję się, że Glahn, że Glahn chory?

A praczka moja odpowiada zza drzwi:

– Ho, już prawie do cna zdrów.

To „Glahn, Glahn“ przeniknęło mnie do szpiku kości; dwa razy powtórzyła moje nazwisko i to wywarło na mnie wrażenie, głos jej był jasny i drżący.

Otworzyła drzwi bez pukania, weszła szybko do izby i spojrzała na mnie. I w tejże chwili odżyły we mnie wszystkie wspomnienia: miała na sobie swój farbowany żakiet i fartuszek zawiązany poniżej pasa w celu przedłużenia figury. Zauważyłem to od razu, na pierwszy rzut oka, a spojrzenie jej, jej twarz śniada z brwiami wysoko na czole zakreślonymi, dziwnie pieśczośliwy wyraz rąk jej, wszystko to wstrząsnęło mną gwałtownie i splątało myśli. Ją to wszakże całowałem! – przemknęło mi przez mózg. Podniosłem się i stałem.

– Pan wstaje, pan stoi – rzekła. – Niechże pan siada, pan ma chorą nogę, pan ją sobie postrzelił. Boże miłosierny, jakże się to stało? Dopiero teraz się o tym dowiedziałam. Cały czas myślałam: Go się dzieje z Glahnem? Wcale się nie pokazuje. Nie wiedziałam o niczym. Słyszę, że pan się postrzelił przed kilku tygodniami, a ja ani słowa o tym nie wiedziałam. Jakże się pan obecnie miewa? Strasznie pan pobladł, trudno mi pana poznać. A jak z nogą? Gzy będzie pan utykał? Doktor twierdzi, że nie. Jakże serdecznie się cieszę, że pan nie będzie kulawy. Bogu dzięki za to. Sądzę, że pan mi wybaczy moje obcesowe wtargnięcie, nie szłam tu, ale po prostu biegłam.

Pochyliła się nade mną, była blisko tuż, czułem oddech jej na twarzy, wyciągnąłem ku niej ręce. Wówczas odsunęła się. Oczy jej były jeszcze wilgotne.

– Było to tak – bąknąłem. – W tamtym kącie chciałem postawić fuzję, uchwyciłem ją niezdarnie, lufą w górę, potem ku ziemi; potem nagle usłyszałem strzał. Nieszczęśliwy wypadek.

– Nieszczęśliwy wypadek – rzekła zamyślona i skinęła głową. – Pokaż pan, a więc lewa noga; ale czemu właśnie lewa? Tak, to przypadek...

– Oczywiście, przypadek – wtrąciłem. – Skądże mam wiedzieć, dlaczego lewa noga? Niechże pani spojrzy, fuzję tak oto trzymałem, dlatego też strzał nie mógł ugodzić w prawą nogę. Ano, zbyt przyjemne to nie było.

Spojrziała na mnie w zamyśleniu.

– A więc jest pan już na drodze do wyzdrowienia – powiedziała, rozglądając się po chacie. – A czemuż pan nie przysyłał do nas po jedzenie? Czym pan żył w tym czasie?

Rozmawialiśmy jeszcze kilka, minut. Zapytałem:

– Wchodząc tu, miała pani twarz wzruszoną i oczy lśniące, podała mi pani dłoń. A teraz wzrok pani zubożniał. Czyżbym się mylił?

Milczenie.

– Nie można być wciąż jednakową...

– Niech mi pani jednak powie, raz bodaj, wyjątkowo – rzekłem – czym na przykład uraziłem panią dzisiaj, co takiego właściwie powiedziałem lub uczyniłem, że wywołałem niezadowolenie pani. Mogłoby to być dla mnie wskazówką na przyszłość.

Stała przy oknie, zapatrzona w daleki horyzont i nie odwracając się, odparła:

– Nie, poruczniku. Można przecie mieć niekiedy własne myśli. Czy pan teraz niezadowolony? Zważ pan tylko, że jedni dają mało a kosztuje ich to wiele, inni zaś dają wszystko i nic ich to nie kosztuje; kto z nich dał więcej? Podczas choroby stał się pan melancholijny. Lecz jakim sposobem wpadliśmy na omawianie tego wszystkiego? – I nagle patrzy na mnie, radość krasi jej lica i mówi: – Ale teraz życzę panu najrychlejszego wyzdrowienia. Zobaczymy się znowu.

To mówiąc, podała mi dłoń, I w tejże chwili strzeliła mi myśl, by dłoni jej nie ująć. Wstałem, założyłem ręce w tył i skłoniłem się głęboko; w taki sposób chciałem podziękować za jej miłe odwiedziny.

– Proszę mi wybaczyć, że nie mogę pani odprowadzić – powiedziałem.

Po jej odejściu usiadłem, by raz jeszcze nad wszystkim się zastanowić. Po czym napisałem list z prośbą o przysłanie mi munduru.

XX

Pierwszy dzień w lesie.

Rozradowany byłem i osłabiony jednocześnie. Stworzenia wszelkie podchodziły blisko i przyglądały się mnie; chrząszcze siedziały na liściach drzew, a na ścieżce pełzały maiki. Wielkie zbratanie! – pomyślałem. Nastrój lasu rozkołysał moje zmysły, płakałem z miłości i byłem nad wyraz szczęśliwy, rozpląnałem się w dziękczynieniu. Lesie mój dobry, ojczyzno moja, ukojenie boże, pozdrawiam ciebie z głębi serca... Urywam, rozglądam się na wszystkie strony i z płaczem wymieniam według nazw ptaki, drzewa, kamienie: trawki i mrówki, rozglądam się i wymieniam je po kolei. Spoglądam ku górcom i myślę: – Hop, hop, już idę! – jak gdyby w odpowiedzi na wołanie. Hen wysoko, tam na górze, gnieźdzą się drzemliki, znam ich gniazda. Ale myśl o gnieźdzących się drzemlikach poniosła wyobraźnię moją hen daleko.

W południe powiosłowałem na morze, lądowałem na wysepce maleńkiej, na kępie poza portem. Rosły tam kwiaty liliowe na wysokich łodygach, sięgające mi do kolan. Brodziłem wśród niezwykłej roślinności, wśród krzaków malinowych i grubej trawy. Nie było tam zwierzyny i ludzi zapewne także tam nie było. Morze, uderzając łagodnie o wyspę, otulało mnie jakoby zasłoną szumu, a wysoko koło Ptasich Kęp pokrzykiwały i latały gromady wszelkiego ptactwa morskiego.

Morze jednak obejmowało mnie, jakby w uścisku, ze wszystkich stron. Błogosławione niech będzie życie i ziemia, i niebo, błogosławieni niech będą moi nieprzyjaciele, najzawziętszemu wrogowi nawet przebaczam w tej chwili i gotów jestem rozwiązać rzemyki U jego trzewika...

Śpiew głośny dochodzi mnie z jednego z żaglowców Macka i dusza moją rozświeca się pod wpływem znanego głosu. Wiosłuję w stronę pomostu, przechodzę mimo chat rybackich i wracam do mej chaty. Dzień ma się ku schyłkowi, zabieram się do wieczerzy, dzielę się z Ezopem i znowu idę do lasu. Łagodne wietrzyki muskają mnie po twarzy. – Błogosławione bądźcie – mówię do wiatrów – za tę pieśczętę, bądźcie błogosławione; krew w żyłach moich składa wam pokłon dziękczynienia! – Ezop kładzie mi łapę na kolanie.

Lu-li! Lu-li! Dzwony czy dzwonią? O kilka mil na pełnym morzu wznosi się góra, Odmawiam dwie modlitwy, za mego psa jedną, a drugą za siebie i wchodzimy do wnętrza góry. Bramą zapada za nami, odczuwam wewnętrzny wstrząs i budzę się.

Niebo ognistopurpurowe, słońce stoi i kołysze się przed moimi oczyma, noc i horyzont grzmia blaskiem. Ezop i ja idziemy w cień. Cisza dokoła. – Nie, spać już nie będziemy – mówię do Ezopa – jutro będziemy polowali, purpurowe słońce świeci na nas, nie wejdziemy do wnętrza góry... – I powstają we mnie nastroje przedziwne, a krew uderzą mi do głowy. Rozgorączkowany i słaby jeszcze czuję, że ktoś mnie całuje i pocałunek spoczywa na mych ustach. Rozglądam się, nie widzę nikogo. – Iselino! – wołam. W trawie coś szeleści, może to liście spadające, a może i czyjeś kroki. Dreszcz przebiega gęstwinę leśną – może to oddech Iseliny? – pomyślałem. Po tych lasach Iselina chodziła, tu wysłuchiwała prośb myśliwych w żółtych butach i płaszczach zielonych. Mieszkała na zamku odległym stąd o dwa stajania; przed przeszło stu laty siadywała tam w oknie i wsłuchiwała się w odgłos rogów myśliwskich, rozbrzmiewających dokoła w kniei leśnej. Renny tu były i wilki, i niedźwiedzie, i wielu myśliwych, a wszyscy baczyli, jak dorastała, i każdy na nią czekał. Jeden ujrzał jej oczy, drugi głos jej usłyszał; ale raz w noc bezsennej pewien parobczak zerwał się, wywiercił otwór do komnaty Iseliny i ujrzał biały aksamit jej łona. W dwunastym roku jej życia zjawił się Dundas. Był to Szkot, handlował rybami i posiadał wiele okrętów. Miał on syna. Gdy Iselina skończyła lat szesnaście, ujrzała młodego Dundasa po raz pierwszy. I była to jej pierwsza miłość...

I kiedy tam siedzę, tak dziwne ogarniają mnie nastroje i głowa cięży; zamykam oczy i znowu czuję pocałunek Iseliny.

– Iselino, jesteś tu, ty, życia kochanko? – mówię – i czy kazałaś Dyderykowi stać za drzewem?... – Głowa coraz bardziej mi cięży i spływam na falach snu.

Lu-li! Lu-li! – Głos jakiś mówi i mam wrażenie, jak gdyby plejada gwiazd śpiewała w mojej krwi. To głos Iseliny:

Śpij, śpij! A kiedy zaśniesz, snuć ci będę opowieść o miłości mojej i o pierwszej mojej nocy. Pamiętam, że zapomniałam zamknąć drzwi; miałam lat szesnaście, wiosna była i ciepły wiał wietrzyk. I wtedy zjawił się Dundas. Zdawało się, jak gdyby orzeł przyleciał z szumem. Spotkałam go pewnego poranku przed polowaniem, miał wtedy lat dwadzieścia pięć i powrócił z dalekich podróży; chodziliśmy po ogrodzie, a kiedy dotknął mnie swoim ramieniem, pokochałam go. Dwie ogniste plamy wystąpiły mu na czole, a ja pragnęłam je całować.

Wieczorem, po polowaniu, wyszłam i szukałam go w ogrodzie; lecz jednocześnie drżałam z obawy, że go spotkam. Cichutko powtarzałam jego imię, a jednocześnie bałam się, że mógłby to usłyszeć. I wtem wychyla się z krzaków i szepcze: – Dziś w nocy o pierwszej! – I znika.

– Dziś w nocy o pierwszej – powtarzam – o czym on właściwie mówił? Nic zgoła nie rozumiem. Chciał zapewne powiedzieć, że dzisiejszej nocy o pierwszej znowu wyjeżdża. Ale cóż mnie to obchodzi?

Tak się złożyło, że zapomniałam zamknąć drzwi...

Przyszedł do mnie o pierwszej.

– Czy drzwi moje nie były zamknięte na klucz? – pytam.

– Zaraz je zamknę – odpowiada.

I zamyka drzwi na klucz.

Stukot jego wielkich butów przerażał mnie. – Zbudzisz służącą! – powiedziałam. Lękałam się krzesła trzeszczącego i rzekłam: – Nie, nie, nie siadaj na krześle, wszakże trzeszczy.

– A czy pozwolisz mi usiąść przy sobie na sofie? – Owszem – powiedziałam.

Pozwoliłam dlatego tylko, że krzesło trzeszczało.

Siedzieliśmy na sofie. Odsunęłam się, lecz on się przysunął. Spuściłam oczy.

– Zimno ci – rzekł i ujął moją rękę. Po chwili rzekł ponownie: – Jakże ci zimno! – i objął mnie ramieniem.

W objęciach jego rozgrzewam się. Siedzimy tak dłuższą chwilę. Wtem pieje kogut.

– Słyszałaś? – rzekł – kogut pieje, niedługo zaczną świtać.

I silniej mnie przycisnął, i obezwładnił.

– Czyś tylko pewny tego, że to kogut piał? – wyjąknęłam.

Ujrzałam znowu na czole jego dwie plamy ogniste, więc chciałam się podnieść. Lecz on przytrzymał mnie. I wtedy zaczęłam całować te dwie rozkoszne plamy, zamknąwszy oczy...

I tak nastał dzień, był już rano. Zbudziłam się i nie poznałam ścian własnej mej izby, wstałam i własnych mych pantofelków nie poznałam; coś drży we mnie. Co to być może? – pomyślałam ze śmiechem. I która to właściwie wybiła godzina? Nie zdawałam sobie sprawy z niczego, wiedziałam tylko, że zapomniałam zamknąć drzwi.

Wchodzi służąca moja.

– Kwiaty panienki jeszcze nie podlane – mówi.

Zapomniałam o kwiatkach.

– Sukienka panienki taka pognieciona?

Jakim sposobem pogniotłam sukienkę – myślałam rozbawiona; stało się to chyba dzisiejszej nocy?

Jakiś pojazd wjeżdża w tej chwili przez bramę ogrodową.

– I kot panienki nie dostał jeszcze śniadania – mówi dziewczyna.

Lecz ja zapominam o kwiatkach, o sukni i o kocie i pytam:

– Czy to Dundas tu przyjechał? Poproś, by zaraz tu przyszedł, oczekuję go, zaszło coś... coś... – A jednocześnie zadaję sobie w myśli pytanie: Czy on też, wszedłszy tu, znowu drzwi na klucz zamknie?

Puka. Otwieram drzwi i sama zamykam je na klucz, by mu się cokolwiek przysłużyć.

– Iselino! – wybucha i wyciska na mych ustach długi pocałunek.

– Nie posyłałam po ciebie – mówię szeptem.

– Naprawdę nie?

Jestem znowu całkiem obezwładniona i mówię:

– Owszem, wysłałam po ciebie posłańca, tak niewymownie tęskniłam za tobą. Pozostań trochę.

Z ogromu miłości zasłoniłam sobie oczy. Nie wypuszczał mnie z swych objęć, a ja słaniając się, przytuliłam się do jego piersi.

– Zdaje mi się, że znowu coś zapiało – odezwał się i nasłuchiwał.

Słyszając jednak, co mówi, zaprzeczyłam co prędeej:

– Ależ nie, jakże możesz przypuszczać, że znowu coś pieje! Nic przecie nie piało.

Ucałował pierś moją.

– To tylko kura gdała – dodałam jeszcze w ostatniej chwili.

– Poczekaj chwilkę, wpierv drzwi zamknę – rzekł i zamierzał wstać.

Powstrzymałam go szeptem:

– Już zamknięte...

I znowu nastał wieczór, i Dundas pojechał. Błyski jakieś złote przenikały mnie. Stałam przed zwierciadłem – i spojrzało na mnie dwoje zakochanych oczu. Pod spojrzeniem tym coś się we mnie poruszyło i wirować zaczęło dokoła serca. Boże mój, nigdy jeszcze nie patrzyłam na siebie takimi oczyma. I miłośnie ucałowałam w zwierciadle własne usta...

Tak, więc opowiedziałam ci o pierwszej mojej nocy i o poranku, i wieczorze tegoż dnia. Później kiedyś opowiem ci o parobczaku Herlufsenie. I jego kochałam. Mieszkał o milę stąd, na wyspie, którą widzisz tam w oddali. W ciche noce letnie płynęłam do niego, sama wiosłując, ponieważ kochałam go. Opowiem ci także o Stamerze. Był pastorem, kochałam go. Ja wszystkich Kocham...

Słyszę przez sen koguta piejącego na dole koło Sirilund.

– Iselino, czy słyszałaś? I nam kogut zapiał! – wołam radośnie i wyciągam ku niej ramiona. I w tejże chwili budzę się. Ezop jest już na nogach. – Won! – mówię w smutku piekącym i rozglądam się dokoła. Nie ma tu nikogo, nikogo tu nie ma! Rozgorączkowany i wzburzony wracam do domu. Ranek już, a kogut w Sirilund wciąż jeszcze pieje.

Przed chatą stoi niewiasta. To Ewa. W ręku ma powróż i wybiera się do lasu po drzewo. Poranek życia unosi się nad młodą tą dziewczyną, pierś jej faluje niespokojnie, słońce ją złoci.

– Niech pan nie myśli... – jąka.

– Czego nie mam myśleć, Ewo?

– Nie przyszedłam tu, ażeby się z panem spotkać, ja tylko przechodziłam tędy...

I twarz jej pokrywa się szkarłatnym rumieńcem.

XXI

Noga wciąż jeszcze mi dokuczala i dręczyła niemało: nocą często swędziła i płoszyła sen, raz po raz przesywało ją gwałtowne strzykanie, a znów na zmianę pogody odczuwałem w niej nieznośne darcie. Trwało to długo, lecz do okulawienia nie doszło.

Mijały dni.

Pan Mack powrócił, o czym zaraz też miałem się przekonać na własnej skórze. Zabrał mi łódź i nabawił mnie tym dużo kłopotu, ponieważ nie był to jeszcze czas polowania i nie mogłem strzelać. Lecz czemu tak bezwzględnie pozbawił mnie łodzi? O świcie dwaj robotnicy portowi pana Macka pojechali z jakimś przybyszem na morze. Spotkałem doktora.

– Zabrano mi łódź – rzekłem.

– Mają gościa – odparł. – Codziennie wyjeżdżają z nim na morze i wracają dopiero wieczorem. Bada dno morskie.

Nieznajomy jest Finlandczykiem. Pan Mack poznał go przypadkiem na statku, wracał z Spitzbergen ze zbiorami muszli i drobnej fauny morskiej. Nazywają go baronem. W domu pana Macka odstąpiono mu mniejszy salonik z pokojem przyległym. Bardzo mu nadskakują.

Brak mi mięsa i właściwie mógłbym poprosić Edwardę o trochę stawy na dzisiejszy wieczór – pomyślałem. Schodzę więc na dół do Sirilund. Spostrzegam od razu, że Edwarda ma nową suknię; mam wrażenie, że urosła, ma bowiem suknię bardzo długą.

– Wybacz pan, że nie wstaję – rzekła krótko, podając mi rękę.

– Tak, niestety, córka trochę słabuje – rzekł pan Mack. – Przeziębła się z własnej winy... Pan przychodzi pewnie w sprawie swej łodzi? Zmuszony jestem pożyczyć panu inną łódź. Nie nową, co prawda, ale jeśli pan pilnie będzie czerpał wodę... Tak, gościmy obecnie u siebie uczonego, więc pan zrozumie, że taki człowiek... Nie próżnuje ani chwili, cały dzień pracuje, a wraca do domu dopiero wieczorem. Nie odchodź pan przed jego powrotem, to go pan zobaczy. Znajomość ta zainteresuje pana. Oto bilet jego z koroną, baron. Miły człowiek. Spotkałem go całkiem przypadkowo.

Aha – pomyślałem – na wieczór ciebie nie zapraszają. Dzięki Bogu, przyszedłem tu jeno ot tak sobie, na próbę, mogę więc wracać, przecie mam jeszcze w chacie trochę ryby. Coś się tam chyba do jedzenia znajdzie. Basta.

Baron wrócił. Mały człowieczek lat około czterdziestu, o długiej, wąskiej twarzy z wystającymi kośćcami policzkowymi i rzadkim czarnym zarostem. Wzrok miał ostry i świdrowaty, choć osłonięty mocnymi szklami. Koronę pięciopalkową miał nawet na spinkach, podobnie jak na bilecie. Trzymał się nieco pochylony, a na chudych rękach występowały błękitne żyły, lecz paznokcie miał jakby z złotego metalu.

– Bardzo mi przyjemnie. Czy pan porucznik dawno już tu bawi?

– Od kilku miesięcy.

Miły człowiek. Pan Mack poprosił go, by opowiedział nam o muszlach i żyjątkach morskich, na co zgodził się z ochotą. Objął nam gatunki gliny w okolicy kęp Korholmów; wyszedł na chwilę do saloniku i przyniósł okaz morskoczynu z Morza Białego. Palcem wskazującym prawej ręki manewrował ustawicznie przy grubych swych złotych okularach, przesuwając je co chwila niżej, to znów wyżej. Pan Mack okazywał nadzwyczajne zainteresowanie. Tak minęła godzina.

Baron wspomniał teraz o moim wypadku, o owym nieszczęsnym strzale. Czy noga już zagojona? Naprawdę? Cieszy go bardzo.

Kto mu właściwie opowiadał o moim wypadku? – pomyślałem. Spytałem więc:

– Skąd pan baron wie o tym?

– Skąd... zaraz, kto mi o tym mówił? Zdaje mi się, że panna Mack. Nieprawdaż, pani?

Edwarda zaczerwieniła się.

Przyszedłem tu taki biedny, czarna rozpacz przygniałała mnie od szeregu dni, za to przy ostatnich słowach gościa zakipiało we mnie niewysłowioną radością. Nie spojrzałem na Edwardę, pomyślałem jednak: Dzięki ci za to, żeś o mnie mówiła, że usta twoje wymawiały moje imię, mimo że jest ono dla ciebie tak beznadziejnie mało ważne. Dobranoc.

Pożegnałem się, Edwarda i teraz nie wstała, dla formy tłumacząc się niezdrowieniem. Obojętnie też podała mi rękę. Pan Mack natomiast zajęty był gorącą dysputą z baronem. Opowiadał o swym dziadku, konsulu Maćku:

– Nie wiem, czy już panu baronowi wspominałem, że tę oto spinkę król Karol Jan osobiście i własnoręcznie przypiął na piersi mego dziadka.

Wyszedłem na schody i nikt mnie nie odprowadził. Przechodząc spojrzałem w okno salonu: stała tam Edwarda, wyprostowana, obu rękoma trzymała rozchyłone firanki i spozierała przez okno. Nie ukloniłem się, zapomniałem o świecie całym, fala nieprzytomności porwała mnie i poniosła w dal.

– Stop, zatrzymaj się na chwilę – powiedziałem do siebie, znalazłszy się w lesie. – Na Boga, trzeba już raz z tym skończyć! – Ogarnęła mnie nagle wściekłość, aż jęknąłem. Nie mam już w sobie choćby za grosz honoru; z łaski Edwardy korzystałem, grubo licząc, przez tydzień, i to dawno temu, a ja nie potrafiłem się odpowiednio do tego dostosować. Od tej chwili serce moje nazwać ją będzie zerem, nicością, prochem na drodze mojej, klnę się na Boga w niebiosach...

Niebawem byłem już w chacie, dobyłem ryby i siadłem do wieczerzy.

Tułasz się tu i spalasz się dla jakiegoś pędraka szkolnego, a noce twoje wypełniają sny czcze i niedorzeczne. I mgli ciebie wiatr duszny, parny. Zeszłoroczny mdły wiatr. Gdy niebo tymczasem drga najcudniejszym lazurem, a głos gór woła ciebie. Chodź, Ezop, hej!

XXII

Minął tydzień. Pożyczyłem sobie łodzi kowala i złowiłem siaki taki zapas na pożywienie. Edwarda przebywała wieczorami stale w towarzystwie barona, a raz dostrzegłem ich opodal młyna. Pewnego wieczora przechodzili obok mej chaty, wtedy cofnąłem się od okna i na wszelki wypadek zamknąłem cichutko drzwi. Widok ich, kroczących blisko siebie, nie wywarł na mnie żadnego wrażenia; wzdrygnąłem tylko ramionami. Innego znów wieczora spotkałem ich na drodze i ukloniliśmy się sobie; czekałem, aż baron pierwszy się ukloni, po czym przyłożyłem dwa palce do czapki, by okazać lekceważenie. Obojętnie na nich spoglądając, przeszedłem obok.

I znowu minął dzień.

Minęło wiele jeszcze długich dni! Opanowało mnie uczucie przygnębienia, serce moje z lękiem dociekało tych spraw, nawet ten poczciwy szary głąz przed moją chatą miał wyraz udręki i rozpaczy, w chwili gdy go mijałem. Zanosilo się na deszcz, upał jakby się zatrzymał przede mną i dyszał wszędzie, gdzie tylko się ruszyłem. Darcie miałem w lewej nodze, o świcie też zauważyłem, jak koń pana Macka przy dyszlu trząsł się i dygotał. Wszystko to miało dla mnie znaczenie jako prognostyk niepogody. Należałoby spiżarnię zaopatrzyć w żywność zawczasu, dopóki sprzyja pogoda – pomyślałem.

Przywiązałem Ezopa, wziąłem sprzęt rybacki i fuzję i zszedłem ku przystani. Czułem się dosłownie niezwykle storturowany.

- Kiedy nadejdzie parowiec pocztowy? – spytałem rybaka.
- Parowiec pocztowy? Ano, za trzy tygodnie – odparł.
- Oczekuję mego munduru – powiedziałem.

Następnie spotkałem jednego z kupczyków pana Macka.

Podąłem mu rękę.

– Powiedz mi pan, na miłość boską – rzekłem – czy w Sirilund wcale już nie grywacie w wista?

– Owszem, nawet często – odparł.

Milczenie.

– W ostatnim czasie nie składało mi się – powiedziałem.

Powiosłowałem na moje łowisko. Powietrze strasznie było duszne, komary opadły mnie chmarami, więc ratując się przed nimi, palić musiałem fajkę bez przerwy. Dorsze szły na przynętę, wyciągnąłem podwójną osękę, dobry miałem połów. W drodze powrotnej ubiłem dwie alki.

W przystani zastałem kowala przy pracy. Błyska mi pewna myśl, przeto pytam go:

– Odprowadzisz mnie kawałek do domu?

– Nie – odpowiada – pan Mack nazaczył mi robotę do północy.

Skinąłem głową i pomyślałem, że dobrze się składa.

Zabrałem połów i poszedłem drogą w stronę chaty kowala. Ewa była w domu sama.

– Tak serdecznie za tobą tęskniłem – powiedziałem jej na wstępie. I wzruszyłem się na jej widok; z wielkiego zdumienia nie śmiała podnieść oczu. – Kocham młodość twoją i oczy twoje, dobre oczy. Ukaraj mnie, dzisiaj więcej myślałem o innej niż o tobie. Posłuchaj, przychodzę do ciebie po to tylko, by się tobie napatrzeć, tak mi dobrze przy tobie, rozmiłowałem się w tobie. Czy słyszałaś, jak ciebie dzisiejszej nocy przywoływałem?

– Nie – odpowiedziała przestraszona.

– Przywoływałem Edwardę, pannę Edwardę, ale myślałem o tobie. Wołając zbudziłem się. Tak jest, ciebie miałem na myśli. Trzeba mi wybaczyć, wymawiając imię Edwardy, po prostu się omyliłem. Ale nie mówmy już o niej. Boże mój, jakże drogą mi jesteś dziewczynką, Ewo! Tak czerwone masz dziś usta. A nóżki masz ładniejsze od Edwardy, popatrz tylko. – Uniosłem jej spódnice T pokazałem własne jej nogi.

Na twarzy jej zabłysła radość, radość, jakiej nigdy jeszcze u niej nie widziałem; chce się odwrócić, ale rozmyśliwszy się, obejmuje mnie za szyję.

Chwile upływają. Rozmawiamy, cały czas siedząc na długiej ławie, gawędzimy o rozmaitych rzeczach.

– Czy uwierzysz, że panna Edwarda nie nauczyła się jeszcze mówić. Wyraża się jak dziecko, mówi „więcej szczęśliwszy”, słyszałem to na własne uszy. Sądzisz, że ona ma ładne czoło? Wcale nie. Ona ma czoło diablicy. Rąk także nie myje.

– Nie mieliśmy przecie o niej mówić? – Słusznie. Zapomniałem się tylko.

I znowu upływa chwila. Myślę o czymś i milczę.

– Czemu masz łzy w oczach? – pyta Ewa.

– Choć zresztą ma ładne czoło – odzywam się – i ręce zawsze czyste. Przypadkiem raz tylko miała brudne. To tylko chciałem powiedzieć. – Teraz jednak zaczynam mówić porywczo i przez zaciśnięte zęby: – Siedzę bezustannie i myślę o tobie, Ewo; ale w tej chwili przychodzi mi na myśl, że może jeszcze nie wiesz o tym, co ci teraz opowiem. Kiedy Edwarda ujrzała po raz pierwszy Ezopa, powiedziała: „Ezop był to przecież mędrzec, Frygijczyk“. Czy to nie zabawne? Przekonany jestem, że tego samego dnia wyczytała to w jakiej książce.

– Tak – wtrąca Ewa – ale cóż dalej?

– O ile sobie przypominam, mówiła jeszcze i o tym, że nauczycielem Ezopa był Ksantus. Ha ha ha.

– Hm.

– Po jakiego diabła opowiadać w towarzystwie, że nauczycielem Ezopa był Ksantus? Pytam się. Ale nie jesteś dziś w dobrym humorze, Ewo, inaczej pękałabyś ze śmiechu.

– Owszem, i mnie wydaje się to wszystko bardzo śmieszne – mówi Ewa i zaczyna przymuszać się do śmiechu. – Ale ja nie znam się na tym tak, jak ty.

Myszę i milczę, milczę i myślę.

– Czy wolisz, ażebyśmy siedzieli przy sobie tak cichutko, bez słowa? – pyta Ewa prawie szeptem. A dobroć jaśnieje w jej oczach i ręka głaszcze mnie po głowie.

– Ach, ty dobra moja! – wołam i gwałtownie przyciskam ją do siebie. – Przekonany jestem, że zmarniałbym bez ciebie. Kocham ciebie, kocham coraz więcej i skończy się na tym, że wyjeżdżając stąd, pojedziemy razem. Zobaczysz. Czy pojechałabyś ze mną?

– Tak – odpowiada.

Owego „tak“ prawie nie słyszę, ale odczuwam je w jej oddechu, widzę je w całym jej zachowaniu. Obejmujemy się w szalonym uścisku i ona oddaje się całkowicie, bez pamięci.

Po upływie mniej więcej godziny całuję Ewę na pożegnanie i odchodzę. W drzwiach spotykam pana Macka.

Pana Macka we własnej osobie.

Stanął jak wryty i osłupiały wpatruje się w głąb izby, stoi na progu i wytrzeszcza oczy. – No! – powiada i na nic więcej zdobyć się nie może, jest jakby odurzony.

– Nie spodziewał się pan zastać mnie tutaj, co? – odzywam się z ukłonem.

Ewa stoi nieporuszona.

Pan Mack odzyskuje przytomność umysłu, nabiera dziwnej pewności siebie i mówi:

– Myli się pan, właśnie pana szukam. Muszę panu zwrócić uwagę, że w okresie od pierwszego kwietnia do piętnastego sierpnia wzbronione jest strzelanie w obrębie kilometra od gniazdowiska ptasiego. Pan zastrzelił dziś dwa ptaki w pobliżu wyspy, ludzie widzieli to.

– Owszem, ubiłem dwie alki – odparłem zmieszany. Zrozumiałem od razu, że był w swoim prawie.

– Dwie alki czy dwa edredony, rzecz to obojętna. Polowałeś pan w obrębie gniazdowiska.

– Przyznaję. Nie przyszło mi to wtedy na myśl.

– Ale powinno było przyjść.

– W maju strzeliłem również w tym samym miejscu dwa razy. Było to podczas wycieczki na wyspę. I stało się to na wyraźne pańskie żądanie.

– To inna sprawa – odciął krótko.

– W takim razie, do pioruna, wiesz pan chyba, co do pana należy?

– Doskonale – odparł.

Ewa stała w pogotowiu; kiedy wyszedłem, poszła i ona; odziana w chustkę, podążyła drogą w stronę pomostu. Pan Mack wracał do domu.

Jąłem się zastanawiać nad całym zajściem. Co za spryt w wyszukiwaniu odpowiedniego pozoru, a oczy jego jakże kłuły! Strzał, dwa strzały, dwie alki, mandat karny, zapłata. I skończone ze wszystkim, z panem Maćkiem i domem jego. W gruncie rzeczy rozwijało się wszystko niesłychanie pomyślnie i szybko...

Tymczasem zaczęły padać duże krople ciepłego deszczu. Sroki latały nisko, a kiedy wróciłem do domu i spuściłem Ezopa, gryzł trawę. I zerwał się wiatr huczący.

XXIII

O milę poniżej widzę morze. Deszcz pada – zaskoczył mnie w górach, więc schroniłem się w wyrwie skalnej. Palę krótką moją fajkę, palę jedną po drugiej, a za każdym razem, kiedy ją zapalam, kawałki tytoniu wypełzają z popiołu, niby robaczki ogniste. Tak samo też i myśli roją się w mej głowie. Przedemną leży na ziemi wiązka suchych gałązek z rozbitego gniazda. Taka też, jak to gniazdo, jest i moja dusza.

U przeżyć dnia tego i następnego przypominam sobie każdy szczegół, choćby najdrobniejszy. Ho ho, jakże mnie urządzono...

Siedzę tu w górach, a morze szumi i wiatr szumi; wiatr i pluta pienia się i skargą okropną napełniają moje uszy, W dali na morzu widać statki duże i mniejsze jachty z pozwijanymi żaglami. Na pokładzie znajdują się ludzie, pragną zapewne lądować gdziekolwiek, i Bóg jeden wie – pomyślałem – do jakiego celu wszystkie te „żywoty” zdążają. Morze wznosi się spienione i zatacza się, jakby zaludnione olbrzymami, szalejącymi olbrzymami, którzy rycząc, biją dokoła siebie potężnymi łapami. Chociaż nie, właściwie są to igrzyska splełanych z sobą dziesięciu tysięcy świszczących szatanów, którzy wtuliwszy łby między ramiona, tańczą dookoła i końcami swych skrzydeł smagają morze do białości. A hen daleko znajduje się skała podwodna, z tej skały wyłania się biały kudłaty tryton i potrząsa głową w oczekiwaniu rozbitego żaglowca, którym wiatr pogania i gna na morze, ho ho, na pełne morze, daleko na morskie pustkowie.

Raduję się, że jestem sam, że nikt nie widzi moich oczu. Z ufnością opieram się o ścianę skalną i wiem, że nikt nie może tu stanąć za mną, by podglądać mnie z tyłu. Wysoko nade mną przelatuje ptak z pokrzykiem, w tej samej chwili odrywa się opodal blok skalny i stacza się w morze. A ja siedzę tu jeszcze jakiś czas, zapadam w bezruch, błogie uczucie zadowolenia przenika mnie, ponieważ mogę siedzieć w bezpiecznym ukryciu, gdy tymczasem deszcz wciąż jeszcze pada i pada. Zapinam na sobie spencerek i błogosławię go za to, że taki ciepły. Minęła jeszcze chwila i zasnąłem.

Już popołudnie, wracam do domu, a deszcz pada jeszcze. Wtem spotyka mnie rzecz niezwykła. Na ścieżce przede mną stoi Edwarda. Przemokła, jakby od dawna już stała na deszczu, lecz mimo to uśmiechnięta. – Aha! – myślę sobie i ogarnia mnie złość, z wściekłością ściskam fuzję w garści i tak idę naprzeciw niej, jakkolwiek się uśmiecha.

– Dzień dobry! – woła pierwsza.

Nie spieszę się z odpowiedzią; dopiero zbliżywszy się o parę kroków, mówię:

– Witam cię, nadobna panienko!

Swawolny mój ton przeraża ją. Ano, nie wiedziałem, co gadam. Uśmiecha się lękliwie i nie spuszcza ze mnie oczu.

– Był pan dziś w górach? – pyta się. – W takim razie musiał pan przemoknąć. Mam tu szal, może by się pan okrył, mnie on niepotrzebny... Tak, widzę, pan się dziwi, pan mnie nie poznaje. – I widząc, że nie sięgam po szal, spuszcza oczy i głową potrząsa.

– Szal? – odpowiadam i uśmiecham się szyderczo z wściekłości i zdumienia zarazem. – Ależ ja mam tu spencerek, pożyczyc go pani? Pożyczyłbym go każdemu, a więc i pani może go spokojnie przyjąć. Nawet starej rybaczce pożyczyłbym go również chętnie.

Widziałem, że w naprężeniu oczekiwała słów moich, oczekiwała w takim zapamiętaniu, że aż poszpetniała, zapomniawszy zamknąć usta. Jakby skamieniała stoi z szalem w ręku, z białym jedwabnym szalem, który zdjęła z szyi. A ja zrywam z siebie spencerek.

– Na miłość boską, nie ściągaj pan kurtki! – woła.

– Pan nie powinien tego robić. Więc aż tak się pan na mnie gniewa? Ależ, na Boga, wdziej pan z powrotem kurtkę, zanim pan przemoknie.

Wciągnąłem kurtkę na powrót.

– Dokąd to pani spieszy? – spytałem głucho.

– Ja, nigdzie... Nie rozumiem, jak pan mógł rozebrać się z kurtki...

– Gdzież to dziś pani podziła barona? – pytałem dalej. – W taką plutę hrabia nie popłynął chyba na morze...

– Chciałam panu tylko coś powiedzieć...

Przerwałem jej:

– Czy mogę panią poprosić o wyrażenie księciu mego uszanowania?

Patrzymy na siebie. Zdecydowany jestem przerwać jej za każdym razem, gdy tylko usta otworzy. Nareszcie zjawia się na jej twarzy wyraz bolesny, lecz ja nie spuszczam z niej oczu i mówię:

– Szczerze mówiąc, panno Edwardo, radzę pani dać odkosza temu królewiczowi. To nie mąż dla pani. Zapewniam panią, że w tych dniach teraz błąka się po manowcach i biedzi się z myślami, czy ma się z panią ożenić, czy nie, a to chyba nie może być zachęcające.

– Ależ, nie mówmy o tym, dobrze? Ja o panu myślałam; a więc pan potrafił zdjąć z siebie kurtkę i użyć ją innemu mimo deszczu... Przychodzę do pana...

Wzdrygam ramionami i mówię dalej:

– Zamiast niego proponuję pani doktora. Czy może mu pani co zarzucić? Człowiek w sile wieku, głowa doskonała. Niechże się pani nad tym zastanowi.

– Posłuchaj mnie pan choćby tylko małą chwileczkę...

– Ezop, pies mój, czeka na mnie w chacie. – Zdjąłem czapkę,
ukłoniłem się i powiedziałem znowu – Żegnam cię, nadobna panienko.

I ruszyłem w drogę.

Wtedy zaczęła krzyczeć:

– Ach, nie rozdzieraj mi serca. Przyszłam dziś do ciebie, czekałam tu i zobaczywszy ciebie, witałam uśmiechem. Wczoraj chodziłam prawie jak bez zmysłów, bo przez cały czas o czymś myślałam, w głowie mi się kręciło i myślałam, wciąż tylko o tobie myślałam. Siedziałam dziś w pokoju i wtedy wszedł ktoś, lecz nie podniosłam oczu, chociaż wiedziałam, kto przyszedł. – „Wiosłowałem wczoraj przynajmniej pół ćwierci mili“, powiedział. – „I nie zmęczył się pan?“ zapytałam. – „Ach, niestety, bardzo się zmęczyłem i pęcherzy dostałem na obu dłoniach, wyrzekał zmartwiony. Więc pomyślałam: Widzisz go, jak on się z tego powodu martwi. Po chwili znowu się odezwał: „Dzisiejszej nocy słyszałem szepty pod moimi oknami; to pokojówka pani i jeden z waszych subiektów czule z sobą gruchali“. – „Owszem, zamierzają się pobrać“, odparłam. – „Tak, ale była to już druga po północy!“ – „To i cóż?“ spytałam, dodając po chwili: „Noc należy do nich“. Wtedy poprawił złote swe okulary i wycedził: „Ale czy nie uważa pani, że tak wśród nocy po prostu nie wypada?“ Wciąż jeszcze nie podnosiłam oczu i tak przesiedzieliśmy jakie dziesięć minut. – „Czy wolno mi podać pani szal?“ zapytał. – „Nie, dziękuję“, odpowiedziałam. – „Kto też właściwie otrzyma rękę pani?“ zagadnął. Nic na to nie odpowiedziałam, myśli moje błądziły całkiem gdzie indziej. Następnie położył mi na kolanach maleńkie puzderko; otwarałam je i ujrzałam szpilkę z koroną, w której naliczyłam dziesięć kamieni... Mam ją przy sobie, chcesz ją zobaczyć? Na nic zdeptana; zatrzymaj się i zobacz, jak jest zdeptana... – „A więc na co mi ta szpilka?“ spytałam. – „Na ozdobę“, odparł. Lecz ja, podając mu szpilkę, oświadczyłam: „Pozostaw mnie pan w spokoju, zajęta jestem kimś innym“. – „I kimże to?“ spytał. – „Pewnym myśliwym“, odparłam, „dał mi tylko dwa ładne pióra na pamiątkę; proszę, zabierz pan swoją szpilkę“. Ale on jej odebrać nie chciał. I wtedy spojrzałam na niego po raz pierwszy; przeszywał mnie wzrokiem. – „Nie odbiorę, możesz pani zrobić z nią, co sama zechcesz, możesz ją nawet choćby podeptać“, powiedział. Nic nie mówiąc, wstałam, rzuciłam szpilkę na

podłogę i rozgniotłam, obcasami rozgniotłam. Było to dzisiaj rano... Cztery długie godziny chodziłam i czekałam; po obiedzie znowu wyszłam. Przydybał mnie na drodze.

– „Dokąd się pani tak spieszy?“ spytał. – „Do Głahna“, odparłam, „muszę go uprosić, by o mnie nie zapomniał...“ Czekam tu od pierwszej, stałam właściwie pod drzewem, kiedyś ujrzała ciebie powracającego. Wyglądałeś jak bóg! Pokochałam twoją postać, zarost twój i twoje ramiona, pokochałam w tobie wszystko... A ty niecierpliwisz się teraz, chcesz odejść. Idźże więc, jestem ci obojętna, nawet nie spojrzysz na mnie...

Przez cały ten czas stałem. A kiedy umilkła, ruszyłem znowu ku domowi. Zastygłem w swej rozpaczy i uśmiechałem się, serce moje było jak głaz.

– Tak, to prawda – powiedziałem, zatrzymując się nagle. – Ale pani chciała mi przecie coś powiedzieć?

Szyderstwo to odrzuciło ją ode mnie.

– Ja chciałam coś powiedzieć? Tak, ale już to powiedziałam; czy pan nie słyszał? Tak, nic już, nic więcej nie mam panu do powiedzenia...

Głos jej drży dziwnie, mnie to jednak nie wzrusza.

XXIV

Nazajutrz rano wychodzę z mej chaty i widzę czekającą już opodal Edwardę.

W ciągu nocy wszystko sobie dokładnie rozważyłem i powziąłem stanowcze postanowienie. Tak, dlaczego miałbym dłużej jeszcze chodzić na pasku narwanej tej dziewczyny, takiej rybaczki, takiego półgłówka? Czyż imię jej nie dosyć długo tkwiło w moim sercu i czyż nie dosyć je wyssało? Dość już tego! Poza tym przyszło mi na myśl, że właśnie okazując jej obojętność i chłoszcząc ją drwinami, stawałem się jej bliższym. Ach, jakże wspaniale ją wydrwiłem; zaledwie wygłosiła swoją długą orację, zapytałem po prostu: – Prawda, wszakże chciała mi pani coś powiedzieć...

Stała koło kamienia. Była silnie wzburzona, chciała podbiec ku mnie, rozwarła już ramiona, pozostała jednak w miejscu i załamała ręce. Sięgnąłem po czapkę i ukloniłem się w milczeniu.

– Dzisiaj mam jedną jedyną tylko sprawę, o której muszę się od pana dowiedzieć – rzekła z naciskiem. Nie ruszyłem się przeto, aby usłyszeć, co powie. – Słyszałam, że pan był w kuźni. Było to pewnego wieczora. Ewa była sama w domu.

Zdziwiłem się i odparłem:

– Od kogo ma pani tę wiadomość?

– Ja nie szpieguję nikogo – zawołała – dowiedziałam się o tym wczoraj wieczorem, opowiedział mi ojciec.

Gdy wróciłam wczoraj do domu całkiem przemoczona, powiedział mi ojciec: „Natrząsałaś się dziś z barona”. – „Nie“, odparłam. – „A gdzieś była teraz?“ pytał dalej. Odpowiedziałam: „U Głahna“. I wtedy mi ojciec powiedział.

Tłumię swoje zmieszanie i mówię:

– Ewa nawet i tutaj była.

– Także i tu była? W chacie?

– Kilka razy. Zmusiłem ją do wejścia. Gawędziliśmy z sobą.

– Także i tu!

Milczenie. Trzymaj się! – powtarzam sobie w myśli i mówię:

– Ponieważ pani jest tak łaskawa i miesza się do spraw moich, przeto i ja nie mogę okazać się niewdzięcznikiem. Wczoraj zaproponowałem pani doktora; czy pani zastanawiała się nad tym? Bo księżę jest przecie całkiem niemożliwy.

Gniew zapala się w jej oczach.

– Dowiedz się pan, że on wcale nie jest niemożliwy! – wybucha. – Tak, on jest lepszy od pana, wie, jak się należy zachowywać w mieszkaniu, by nie tłuc filiżanek i kieliszków i trzewiki moje zostawia również w spokoju. Tak jest. Umie obracać się w towarzystwie, podczas gdy pan jesteś śmieszny, wstydzę się za pana, z panem wytrzymać nie można, rozumiesz pan!

Słowa jej ugodziły mnie głęboko. Opuściłem głowę i odparłem:

– Ma pani słuszość, twierdząc, że nie umiem obracać się w towarzystwie. Miejsze pani litość; pani mnie nie rozumie, ja najchętniej przebywam w lesie, to moja radość jedyna. Tu, w mej samotni, nie przeszkadza nikomu, że jestem taki, jaki jestem. Skoro jednak znajduję się w towarzystwie ludzi, dokładać muszę wszelkich sił, by być takim, jakim powinienem być. Od dwóch lat tak rzadko bywam wśród ludzi...

– Po panu spodziewać się można każdej chwili czegoś najgorszego – ciągnęła dalej. – To ustawiczne uważanie na pana staje się z czasem męczące.

Jakże niemiłosiernie to wypowiedziała! Ból niesłychanie dotkliwy przeszywa mnie, cofam się prawie zataczając przed jej wzburzeniem. Ale Edwardzie nie dosyć tego, ona dodaje jeszcze:

– Ewę mógłby pan może pozyskać, by pana pilnowała. Szkoda tylko, że jest zamężna.

– Ewa? Pani mówi, że Ewa jest zamężna?

– Tak, zamężna!

– Z kim jest zamężna?

– To chyba panu wiadomo. Ewa jest żoną kowala.

– Jak to, więc nie jestże córką kowala?

– Nie, jest żoną jego. Czy sądzisz pan może, że stoję tu przed panem i kłamię?

Ja nic nie sądziłem, nic nie myślałem, a tylko zdumienie moje było tak strasznie wielkie. Stałem bez ruchu, przykuty jedną tylko myślą: Ewa jest zamężna?

– A więc powinszować panu szczęśliwego wyboru – dorzucą Edwarda.

No, kiedyż się to skończy! Z nadmiaru rozgoryczenia zacząłem dygotać i wreszcie odezwałem się:

– Ale niechże się pani zdecyduje na doktora, jak powiedziałem. Usłuchaj pani rady przyjaciela; książę to przecie podtatusiały cymbał. – W rozjątrzeniu swoim kłamałem o nim, dodawałem mu lat, dowodziłem, że jest łysy i prawie całkowicie ślepy; twierdziłem także, że ma koronę na spinkach do koszuli dlatego tylko, by mógł się nadymać i puszyć swym szlachectwem. – Zresztą wcale nie pragnąłem z nim znajomości – dodałem. –

Nic w nim nie ma określonego, brak mu wszelkich cech wybitniejszych, jest zerem.

– Nieprawda, on jest czymś, on jest czymś! – krzyczała, a głos jej chrypiał z wściekłości. – Jest czymś znacznie więcej, niż ty przypuszczasz, ty odludku leśny! Ale poczekaj tylko, ho, on się z tobą rozprawi, sama go o to poproszę. Nic wierzysz, że ja go kocham, ale przekonasz się, żeś się omylił. Wyjdę za mąż za niego właśnie, dniem i nocą tylko o nim będę myślała. Zapamiętaj sobie, co mówię: kocham go. Tak, a Ewę możesz sobie sprowadzić, śmiało, ho ho, mój Boże, niechże tu przychodzi, mnie to ani ziębi, ani parzy, jest mi to najzupełniej obojętne. Tak, a teraz odchodzę stąd...

Odwróciła się i zaczęła schodzić ścieżką; oddalała się, biegnąc po prostu drobnym krokiem, na chwilę obróciła się, wciąż jeszcze sinoblada, i jęknęła:

– A nie pokazuj mi się już na oczy, nigdy!

XXV

Listowie już żółknie, łąty ziemniaczane wyrosnięte i w pełnym kwieciu. Nadeszła znowu pora polowań. Polowałem na pardwy, na głuszce i na zające, a pewnego dnia upolowałem nawet orła. Cisza, wysoki horyzont, noce chłodne, rozliczne czyste dźwięki i odgłosy przemile w lesie i na polu. W spokoju majestatycznym wypoczywał świat...

– Pan Mack nie wznawia jakoś sprawy owych zastrzelonych przeze mnie dwu alk – rzekłem do doktora.

– Podziękuj pan Edwardzie – odparł. – Wiem bardzo dobrze, słyszałem, jak się temu sprzeciwiła.

– Nie, nie podziękuję jej – powiedziałem...

Indian summer, Indian summer. Ścieżki niby pasy ciągnęły się poprzez rudziejący las, codziennie przybywała nowa gwiazda, a księżyc jawił się niby cień złoty, zanurzony w srebrze...

– Bóg z tobą, Ewo, wszakże jesteś zamężna?

– Czyś o tym nie wiedział?

– Nie, nie wiedziałem.

W milczeniu uściśnęła moją rękę.

– Bóg z tobą, dziecko, cóż teraz poczniemy?

– Zależec to będzie od twojej woli. Może jeszcze nie odejdiesz, a dopóki tu jesteś, chcę używać szczęścia.

– Nie, Ewo.

– Tak, tak, tylko dopóki tu jesteś!

Ma wyraz przygnębienia i kurczowo ściska moją rękę.

– Nie, Ewo, odejdz! Nigdy już!

I noce mijają, i dni nadchodzą. Dziś trzeci już dzień od owej rozmowy. Ewa kroczy drogą, dźwigając naręcze chrustu. Ileż drzewa dziecko to nanosiło w ciągu lata z lasu do domu!

– Złóż ten ciężar, Ewo, niech zobaczę, czy oczy twoje tak samo jeszcze błękitne.

Miała oczy zaczerwienione.

– Ależ, Ewo, uśmiechnij się znowu jak dawniej! Nie wytrwam już dłużej, muszę ci ulec, twój jestem, twój...

Wieczór. Ewa śpiewa, słyszę jej śpiew i żar mnie ogarnia.

– Ewo, ty dziś śpiewasz?

– Ach, tak mi dziś wesoło.

I ponieważ niższa jest ode mnie, podskoczyła cokolwiek i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Ależ, Ewuniu, masz podrapane ręce! Boże mój, skąd masz takie podrapane ręce?

– Nic to.

A twarz jej promienieje tak przedziwnie.

– Czy rozmawiałś w tym czasie z panem Maćkiem?

– Raz tylko.

– O czym mówiliście?

– Bardzo się na nas rozszrozył. Mąż mój pracować musi dzień i noc w przystani i mnie także zapędza do wszelkiego rodzaju roboty.

– I czemu to?

Ewa spuszcza oczy.

– Czemu to robi, Ewo?

– Bo kocham ciebie.

– Ale skądże on o tym może wiedzieć?

– Sama mu powiedziałam.

Milczenie.

– Daj Boże, by przestał być tak srogi dla ciebie!

– Ach, nic to. Teraz nic już nie szkodzi.

I głos jej idzie po lesie jak gdyby pieśń cicha i drżąca.

A listowie coraz więcej żółknie, ma się ku jesieni. Gwiazd na niebie coraz więcej, a księżyc wygląda teraz niby cień srebrny, zanurzony w złocie. Zimno nie było ani trochę, tylko chłodna cisza i życie nurtujące w lesie. Drzewa stały pogrążone w zadumie. Jagody były dojrzałe.

I nadszedł dzień dwudziesty drugi sierpnia, a z nim trzy noce żelazne.

XXVI

Pierwsza żelazna noc.

Słońce zachodzi o godzinie dziewiątej. Szary mrok zawisa nad ziemią, na niebie widać parę gwiazd, a w dwie godziny później jawi się połysk księżyca. Z fuzją i psem wędruję do lasu, rozniecam małe ognisko, a blask płomieni jego pada między pnie sosnowe. Nie ma mrozu.

– Pierwsza noc żelazna! – mówię do siebie. I radość szaleńcza porywa mnie na myśl o czasie i miejscu, w których przebywam...

Hej, wy, ludzie i zwierzęta, i ptaki, wznoszę okrzyk na cześć nocy samotnej w lasach, w lasach! Okrzyk na cześć mroku i poszeptu bożego wśród drzew, na cześć słodkich, prostych dźwięków ciszy, wnikaających do mych uszu, na cześć zielonych liści i liści pożółkłych! Okrzyk wznoszę na cześć głosu życia, który słyszę w wężącym w trawie pysku psa. Gromki okrzyk na cześć żbika, który czai się i człeka, i gotuje się do skoku na wróbla, w ciemności, w ciemności! Okrzyk na cześć miłosiernej ciszy na ziemi, na cześć gwiazd i półksiężyca, tak, na cześć wszystkiego!...

Podnoszę się i nasłuchuję. Nie, nikt mnie nie słyszy, więc z powrotem siadam.

Dzięki za tę noc samotną, za te góry, za ten poszum ciemności i morza, który idzie mi przez serce! Dzięki za życie moje, za mój oddech, za tę łaskę życia w dzisiejszej nocy, dzięki za to serdeczne! Nasłuchuję na wschód i nasłuchuję na zachód, tak, nasłuchuję! Wszędzie jest Bóg wiekuisty! Cisza ta, która szepcze mi do ucha, to pulsująca krew wszechświata, to Bóg, który przenika ziemię i mnie. Lśniącą pajęczynę widzę w blasku mego ogniska, od morza słyszę uderzenia wiosł, zorza polarna przesuwa się na horyzoncie północnym. O, na duszę moją nieśmiertelną, dzięki i za to najgłębsze, że ja właśnie jestem tym, który tu siedzi!

Cisza. Z głuchym łoskotem spada na ziemię szyszka. Szyszka sosnowa spadła! – pomyślałem. Księżyc stoi wysoko na niebie, płomień migoce jeszcze nad dopalającym się ogniskiem i gaśnie. Późną nocą wędruję do domu.

Druga noc żelazna. Ta sama cisza i powietrze tak samo łagodne. Dusza moja pogrąża się w zadumie. Machinalnie zbliżam się do jakiegoś drzewa, zsuwam czapkę głęboko na czoło, opieram się plecami o drzewo i splatam ręce na karku. Patrzę przed siebie i myślę, płomień mego ogniska oślepia mnie, a ja tego nie czuję. Długą chwilę stoję tak w niedorzecznej tej postawie i gapię się na ogień. W końcu nogi wypowiadają mi posłuszeństwo i zmęczony, całkiem zdrętwiały siadam na ziemi. I teraz dopiero zastanawiam się na tym, com robił! Czemuż właśnie gapiłem się tak długo w ogień?

Ezop podnosi łeb i strzyże uszami, słyszy kroki, między drzewami ukazują się Ewa.

– Takim dziś niespokojny i smutny – mówię.

Ewa milczy, przejęta współczuciem.

– Trzy rzeczy miłuję – mówię po chwili. – Miłuję pewien sen miłosny, który miałem pewnego razu, miłują ciebie i ten skrawek ziemi miłuję.

– A co najbardziej miłujesz?

– Ów sen.

I znowu milczenie. Ezop zna Ewę, układa się na bok i przygląda się jej.

– Spotkałem dziś na drodze pewną dziewczynę, szła pod ramię ze swym kochankiem. Dziewczyna wskazała na mnie oczyma, a kiedy ich mijał, dusiła się po prostu ze śmiechu.

– Z czego się tak śmiała?

– Nie wiem. Śmiała się prawdopodobnie ze mnie. Czemu pytasz o to?

– Czy ją znasz?

– Owszem. Ukłoniłem się.

– A ona nie poznała ciebie?

– Nie, udawała, że mnie nie zna... Ale powiedzże, czemu mnie tak indagujesz? To brzydko. Na próżno się wysilasz, nie wyciągniesz ze mnie, jak jej na imię.

Milczenie.

– Z czego się śmiała? – odezwałem się znowu półgłosem. – Pustak z niej, stworzenie lekkomyślne, tak, ale z czegoż się śmiała? Na Boga, cóżem jej uczynił?

Ewa odpowiada:

– Tak, śmiejąc się z ciebie, postąpiła szkaradnie.

– Nieprawda, nie postąpiła szkaradnie! – krzyczę. – Wara ją obrazić, ona w ogóle nie postępuje szkaradnie. Dobrze zrobiła, że się ze mnie śmiała. Milcz, do diabła, i zostaw mnie w spokoju, słyszysz?

I Ewa wystraszona pozostawia mnie w spokoju. Spoglądam na nią i w tejże chwili żałuję mych ostrych słów, padam przed nią na kolana i załamuję ręce.

– Wracaj, Ewo, do domu. Ciebie miłuję najbardziej, tylko ciebie, bo jakże mógłbym miłować sen? Był to tylko żart, tak, ty jesteś tą, którą miłuję. Ale teraz wracaj już do domu, jutro przyjdę do ciebie. Pomyśl, jestem twój, tak, nie zapomnij o tym. Dobranoc.

Trzecia żelazna noc, noc najwyższego napięcia. Gdybyż przynajmniej było trochę przymrozku! Zamiast mrozu po słońcu dnia – znieruchomiałe ciepło; noc to była jakby ciepławe bagnisko. Roznieciłem małe ognisko...

– Czy uwierzysz, Ewo, że gdy nas ciągną za włosy, to może sprawiać niekiedy pewną przyjemność? Takim postrzeleńcem może stać się człowiek. Można by być wleczonym za włosy z góry na dół, w dolinę i z powrotem na górę, a gdyby w takiej chwili kto zapytał, co się właściwie dzieje, wtedy można by odpowiedzieć z zachwytem: „Włoką mnie za włosy!” A gdyby zapytano: „Mam ci pomóc do oswobodzenia?” – wtedy nastąpiłaby odpowiedź: „Nie“. I jeśliby zapytano: „Lecz czy to wytrzymasz?” – wtedy by brzmiała odpowiedź: „Owszem, wytrzymam, bo kocham rękę, która mnie wlecze...” Czy ty wiesz, Ewo, co to jest mieć nadzieję?

– Owszem, myślę że wiem.

– Widzisz, Ewo, mieć nadzieję, to coś osobliwego, tak, coś bardzo dziwnego. Można pewnego ranka iść drogą i mieć nadzieję, że właśnie na tej drodze spotka się kogoś, kogo się kocha. A czy się go spotka? Nie. Dlaczego nie? Ponieważ osoba ta jest tego właśnie ranka zajęta i przebywa całkiem gdzie indziej... W górach poznałem raz Lapończyka starego i niewidomego. Od pięćdziesięciu ośmiu lat nic nie widzi, a teraz ma już przeszło siedemdziesiąt. Zdawało mu się, że widzi coraz lepiej i że wzrok jego stale się polepsza, tak mu się zdawało. Wierzył, że jeśli tak dalej pójdzie, to za kilka lat ujrzy słońce. Włosy miał jeszcze czarne, ale oczy całkiem białe. Kiedyśmy w gammie jego siedzieli przy fajce, opowiadał mi o wszystkim, co widział, zanim oślepl. Krzepki był i zdrowszy, nieuczuciowy i nie zużyty i żywił tylko swoją nadzieję. Gdy odchodził, wyszedł ze mną i jał wskazywać ręką w różne strony. – „Tam jest południe”, powiedział, „a tam północ. Najpierw pójdziesz w tę stronę, a potem gdy zejdziesz już kawałek niżej, zboczysz w tamtą stronę”, powiedział – „Dobrze mówisz”, odparłem. I wtedy zaśmiał się Lapończyk zadowolony i rzekł: „Aha, a tego przed laty czterdziestu, pięćdziesięciu nie widziałem, aha, a przeto lepiej widzę dziś, niż wtedy, tak, tak, stale się polepsza”. Po czym zgarbił się i wlażł z powrotem do gammy, tej odwiecznej ziemianki, ojczyzny swej na ziemi. I siadł znowu przy ogniu, pełen jak zwykle nadziei, że za kilka lat z pewnością zobaczy słońce... Tak, Ewo, nadzieja to coś bardzo dziwnego. Ja na przykład chodzę tu teraz i mam nadzieję, że zapomnę o tej osobie, której nie spotkałem dziś rano na drodze.

– Taka dziwna twoja mowa.

– To trzecia żelazna noc. Przyrzekam ci, Ewo, że jutro stanę się innym człowiekiem. Teraz jednak pozostaw mnie samego. Jutro nie poznasz mnie, będę śmiać się i całować ciebie, ty moja najśliczniejsza. Pomyśl, jeszcze tylko ta jedna noc, potem stanę się człowiekiem całkiem innym, już za kilka godzin. Dobranoc, Ewo.

– Dobranoc.

Kładę się bliżej ogniska i przyglądam się płomieniom. Szyszka jodłowa spada z drzewa, raz po raz spadają i suche gałązki. Noc jest jak gdyby otchłań bezgraniczna. Zamykam oczy.

Po upływie mniej więcej godziny zmysły moje zaczynają kołysać się w pewnym określonym rytmie, wtóruję w wielkiej tej ciszy, tak jest, wtóruję. Spoglądam na półksiężyc, stoi na niebie niby biała koncha, i odczuwam coś w rodzaju miłości ku niemu, czuję, że się rumienię. – Księżyc – szepczę namiętnie – księżyc! – I serce moje bije ku niemu cichym wzruszeniem. Trwa to kilka minut. Lekki podmuch się zrywa, jakiś wiatr obcy wieje ku mnie, szczególny jakiś napór powietrza. Cóż to takiego? Rozglądam się dokoła i nie widzę nikogo. Wiatr mnie woła i dusza moja skłania się ku temu wołaniu, i czuję się wysadzonym w mej jaźni i przytulonym do niewidzialnej piersi; do oczu mych nabiegają łzy, dygocę – Bóg stoi gdzie bądź w pobliżu i patrzy na mnie. Trwa to znowu kilka minut. Odwracam głowę, obcy napór powietrza znika, a mnie się zdaje, że widzę coś jakby plecy ducha, który cicho, bez Szelestu kroczy przez las...

Chwilę zmagam się z ciężkim odurzeniem, wyczerpały mnie wzruszenia, jestem śmiertelnie znużony i zasypiam.

Kiedym się zbudził, noc już pierzchła. Ach, jakże długo chodziłem w usposobieniu kaduczym, rozgorączkowany, w ustawicznym oczekiwaniu, rychło mnie jaka choroba powali. Często tańczyło mi wszystko przed oczyma, patrzałem na wszystko rozpalonymi źrenicami, władał mną smutek bezgraniczny.

Teraz wszystko to minęło.

XXVII

Jesień. Lato minęło, znikło równie szybko, jak przyszło; ach, jakże szybko przeminęło. Teraz dni już zimne, poluję, łowię ryby i śpiewam po lesie. I bywają dni, kiedy gęsta mgła idzie od morza i osnuwa wszystko pomroką. Takiego właśnie dnia zdarzyło się coś. Podczas wędrówek mych zabłądziłem do lasów sąsiednich i zaszedłem aż do domu doktora. Byli tam goście i panny, z którymi dawniej się już poznałem, młodzież roztańczona, istne źrebce rozbrykane.

Jakiś powóz zajechał i zatrzymał się przy parkanie ogrodowym; w powozie siedziała Edwarda. Ujrawszy mnie, zdziwiła się. – Żegnam pana! – powiedziałem cicho. Lecz doktor zatrzymał mnie. Początkowo Edwarda czuła się najwidoczniej skrępowana moją obecnością i spuszczała oczy za każdym razem, gdym się wmieszał do rozmowy; później zносиła mnie jako tako i nawet zwróciła się do mnie z kilku drobnymi pytaniami. Była uderzająco blada, mgła kładła się na jej twarzy szara i zimna. Nie wysiadła z powozu.

– Przyjeżdżam z rozkazu – rzekła ze śmiechem. – Wracam z katedry, gdzie oczywiście nikogo z was nie znalazłam; powiedziano, że jesteście tutaj. Od kilku godzin już jeżdżę, by was odnaleźć. Jutro odbędzie się u nas mały wieczorek. Na pożegnanie barona, który wyjeżdża w przyszłym tygodniu, polecono mi zaprosić was wszystkich. Będą i tańce. A więc – jutro wieczorem.

Skłonili się wszyscy na znak podziękowania.

Do mnie zaś zwróciła się dodatkowo:

A tym razem proszę nie zrobić nam zawodu. Nie przysyłaj pan przypadkiem w ostatniej chwili biletu z przeproszeniem. – Tego nikomu więcej nie powiedziała. Wkrótce potem odjechała.

Nieoczekiwana ta życzliwość zaskoczyła mnie do tego stopnia, że ukryłem się na chwilę, aby się nacieszyć. Po czym pożegnałem się z doktorem i całym jego towarzystwem i udałem się w drogę powrotną. Jakże łaskawa była dla mnie, jakże łaskawa! Czym jej się za to wywdzięczę? Ręce mi osłabły, rozkoszny dreszcz uczułem w stawach. Boże mój, idę i zataczam się osłabiony radością – pomyślałem – nawet pięści nie mogę zacisnąć, a do oczu cisną się łzy bezradności. Jak temu zaradzić? Późnym wieczorem dopiero wróciłem do domu. Wracałem drogą koło przystani i spytałem jednego z rybaków, czy statek pocztowy nadejdzie do jutra wieczora. – O nie, ma przybyć dopiero w przyszłym tygodniu. – Podążyłem więc do swej chaty i poddałem gruntownym oględzinom najlepszy swój garnitur. Czyściłem go i odświeżałem; w paru miejscach miał dziury, przeto płacząc, latałem je.

Skończywszy, rzuciłem się na tapczan. Chwilę spoczywam w spokoju, gdy nagle myśl jakaś strzela mi do głowy, zrywam się i staję na środku izby jakby ogłuszony. – W tym wszystkim kryje się znowu podstęp! – szepczę. – Nie otrzymałbym zaproszenia, gdyby mnie tam przypadkiem nie było w chwili, gdy innych zapraszała. A w dodatku, wspominając o bilecie z uniewinnieniem, dała mi najwyraźniej do zrozumienia, ażebym nie przychodził...

Nie zmrzyłem oka całą noc, a gdy zaświtało, wyruszyłem do lasu, zziębnięty, niewyspany i wstrząsany dreszczem. Hej, w Sirilund krzątają się teraz około przygotowań do wieczorku! Więc cóż stąd? Ja tam przecie nie pójdę i uniewinnienia także nie poślę. Pan Mack to spryciarz, festyn ten urządzi teraz dla barona, ale ja tam nie pójdę, rozumiecie?...

Gęsta mgła zasnęła doliny i góry, zimna wilgoć wsiąkała w moje ubranie i obciążała je, twarz miałem zziębniętą i mokrą. Niekiedy tylko zrywał się powiew wiatru i mgłą senną zakolysał w górę i na dół, w górę i na dół.

Było już dobrze po południu, zmierzchało się, mgła zasłoniła mi wszystko przed oczyma, zasłoniła i niebo, według którego mógłbym się zorientować w terenie. Toteż godzinami błdziłem w drodze powrotnej. Nic mnie jednak nie nagliło do pośpiechu, z największym przeto spokojem obrałem kierunek fałszywy i zaszedłem do całkiem mi nie znanych kniei w lesie. Wreszcie ustawiam fuzję pod drzewem i sięgam po kompas. Oznaczam sobie dokładnie drogę i wyruszam. Jest może godzina ósma albo dziewiąta.

I oto stało się coś.

Po półgodzinie słyszę muzykę poprzez mgłę, a niebawem rozpoznaję, dokąd zaszedłem: stoję tuż przed głównym domem w Sirilund. Czyżby kompas mnie omamił i zaprowadził do miejsca, od którego pragnąłem uciec? Wtem przywołuje mnie znany głos, głos doktora. Wkrótce potem zostaję wprowadzony.

Ach, może to lufa fuzji podziałała na kompas i zbałamuciła go. Przytrafiło mi się to później po raz drugi, obecnie w tym roku. Nie wiem, co o tym sądzić. A może to i przeznaczenie.

XXVIII

Cały wieczór nękało mnie przykre uczucie, że w towarzystwie znalazłem się całkiem niepotrzebnie. Przybycia mego wcale prawie nie zauważono, tak wszyscy byli sobą zajęci. Edwarda zaś przywitała się ze mną ledwie-ledwie. Zacząłem pić, ponieważ zrozumiałem, że jestem tu niechętnie widziany, a mimo to nie odszedłem.

Pan Mack ustawicznie się uśmiechał i starał się być jak najmiłszy. Był we fraku i prezentował się dobrze. Nigdzie go nie brakło, uwijał się między gośćmi, których zebrało się tu około pół setki, tu przetańczył jaki taniec, tam pożartował i śmiał się. W oczach jego czaiły się tajemnice.

Wrzawa muzyki i głośnych rozmów rozbrzmiewała w całym domu. Pięć pokoi pełnych było gości, a prócz tego tańczono jeszcze w dużym salonie. Kiedy przyszedłem, skończono właśnie wieczerzę. Służące uwijały się, roznosząc kielichy i wino, kawę w imbrykach z błyszczącej miedzi, cygara, fajki, ciastka i owoce. Nie skąpiono niczego. W świecznikach płonęły świece niezwykle grube, na uroczystość tę umyślnie ulane, a nadto paliły się nowe lampy naftowe.

W kuchni pomagała Ewa, widziałem cień jej. – Patrzajcie, i Ewa jest tu.

Baron był przedmiotem powszechnej uwagi, jakkolwiek cichy i skromny. Wcale się na plan pierwszy nie wysuwał. I on był we fraku, wymiętym wprawdzie rozpaczliwie w walizie. Rozmawiał często z Edwardą, wodził za nią oczyma, trącał się z nią kieliszkiem i nazywał, „łaskawą panią“, tak samo, jak córki pastora i lekarza obwodowego. Czulem do niego stała niechęć i ile razy spojrzałem na niego, odwracałem się natychmiast z grymasem smutku i głupoty. A kiedy ze mną rozmawiał, odpowiadałem szorstko, po czym zaciskałem usta.

Przypominam sobie jeszcze jedno zajście tego wieczoru. W toku rozmowy z pewną panią, blondyneczką, opowiedziałem jej anegdotkę jakąś lub coś takiego, co pobudziło ją do śmiechu. Nie przypuszczałem, ażeby to było coś specjalnie dowcipnego, możliwe jednak, że nieco podchmielony opowiadałem weselej, niż sobie obecnie przypomnieć mogę. Dosyć, że kiedy się odwróciłem, ujrzałem za sobą Edwardę. Spojrzała na mnie z uznaniem.

Następnie zauważyłem, że pociągnęła za sobą blondyneczkę, by dowiedzieć się widocznie, o czym opowiadałem. Po całym tym wieczorze, gdzie niby przybłąda snułem się po pokojach, jakże kojąco podziałało na mnie spojrzenie Edwardy; od razu uczyniło mi się lżej na duszy i od tej chwili stałem się rozmowniejszy i bardziej ożywiony. O ile pamiętam, nie palnąłem żadnego głupstwa...

Stałem w korytarzu przy schodach. Z jednego z pokojów wyszła Ewa, niosąc jakieś przedmioty. Spostrzegłszy mnie, zbliżyła się, pogłaskała mnie szybko po rękę, uśmiechnęła się i znowu odeszła. Chciałem pójść za nią, ale wtedy nagle ujrzałem przed sobą Edwardę – stała w korytarzu i patrzyła na mnie. Patrzyła mi prosto w oczy. I ona również nic nie powiedziała. Wszedłem do salonu...

– Wyobraźcie sobie, porucznik Glahn zabawia się odbywaniem schadzek ze służącymi tam, na schodach – rzekła nagle Edwarda. Powiedziała to głośno, stojąc w drzwiach. Usłyszało to sporo osób. Śmiała się przy tym, jakby żartując, ale twarz jej bardzo pobladła.

Nic na to nie odpowiedziałem, a tylko bąknąłem:

– Przypadek, wyszła akurat z pokoju, spotkaliśmy się w korytarzu...

Minęła chwila, może godzina. Jedną z pań oblano winem. Edwarda, zauważywszy to, zawołała natychmiast:

– Co się stało? Naturalnie, znowu sprawka Glahna. Nie była to moja sprawka, podczas wypadku tego stałem akurat po drugiej stronie salonu. Od tej chwili zacząłem znowu więcej pić i zająłem miejsce przy drzwiach, by nie zawadzać tańczącym.

Baron wciąż jeszcze skupiał panie dokoła siebie. Żałował, że zbiory ma już zapakowane, tak że nic z nich pokazać nie może, a zwłaszcza ów pęczek morskichy z Morza Białego, kawałki gliny z Korholmów, niezwykle skamieliny z dna morskiego. Panie spozierały ciekawie na jego spinki, owe pięciopalkowe korony, dowody baronostwa. Wśród takich okoliczności doktor zszedł na plan dalszy, nawet jego zakłęcie „na szatana i ogon jego“ nie wywierało już wrażenia. Za to tropił stale Edwardę; gdzie ona rozmawiała, tam i on był, poprawiał co chwila sposób jej mówienia, nieznaczną uszczypliwością zapędzał ją w kozi róg, trzymał ją w korbach spokojną przewagą.

Powiedziała:

– ...póki nie przejdę przez dolinę śmierci.

I doktor zapytał natychmiast:

– Przez co?

– Przez dolinę śmierci, czy nie nazywa się to doliną śmierci?

– Słyszałem zawsze o rzece śmierci. Zapewne o tym pani myślała.

Później powiedziała, że będzie czegoś strzegła, jak...

– Jak smok – poddał doktor.

– Tak jest. Jak smok – powtórzyła.

Ale doktor rzekł:

– Proszę mi podziękować za to, że panią wyratowałem. Jestem przekonany, że byłaby pani powiedziała: jak argus.

Baron podniósł brwi i spoza grubych okularów rzucił mu zdziwione spojrzenie. Możliwe, że z podobną błagą nigdy się jeszcze nie spotkał. Ale doktor nie dbał o to. Cóż go obchodzi baron!

Wciąż jeszcze stoją w drzwiach. Tańczący hasają w salonie. Udało mi się nawiązać rozmowę z nauczycielką z plebanii. Rozmawialiśmy o wojnie, o stosunkach na Krymie, o ostatnich wydarzeniach we Francji, o Napoleonie jako cesarzu, o protegowanych przez niego Turkach. Latem czytała gazety, przeto mogła mi udzielić wielu nowin. W końcu, nie przerywając rozmowy, usiedliśmy na kanapie.

Edwarda przechodząc zatrzymuje się przy nas. I nagle odzywa się:

– Wybaczcie, panie poruczniku, że spłoszyłam was na schodach. Nigdy już tego nie uczynię.

Również i teraz się zaśmiała, unikając jednocześnie mego wzroku.

– Panno Edwardo, proszę przestać nareszcie – powiedziałem.

Mówiła do mnie przez „wy“, w dobrym zamiarze tego nie uczyniła, z twarzy jej biła niechęć. Przypomniałem sobie doktora i z politowaniem wzdrygnąłem ramionami, podobnie, jak by i on to uczynił.

Edwarda odezwała się znowu:

– Ale czemuż nie idziecie do kuchni? Tam przecie jest Ewa. Uważam, że tam właśnie jest wasze miejsce.

Powiedziawszy to, spojrzała na mnie z nienawiścią.

Niedużo obracałem się w towarzystwie, ale nigdy przedtem nie spotkałem się z podobnym afrontem. Rzekłem więc:

– Panno Edwardo, czy nie uświadamia pani sobie wielkiego niebezpieczeństwa, że słowa pani można by źle zrozumieć?

– Nie, czemu? Chociaż owszem, możliwe, ale czemu?

– Ponieważ odzywa się pani nieraz tak bez zastanowienia. Przed chwilą, na przykład, zdawało mi się, że mnie pani wypędza po prostu do kuchni, a to jest oczywiście tylko nieporozumienie. Wiem przecie dobrze, że pani nie miała zamiaru być nieprzyzwoita.

Edwarda oddała się od nas o parę kroków. Widzę, jak cały czas zastanawia się nad tym, co powiedziałem. Nagle odwraca się, ponownie do nas przystępuje i mówi zdławionym głosem:

– Nie zachodzi tu żadne nieporozumienie, panie poruczniku, dobrze słyszeliście, wyrzucałam was do kuchni.

– Ależ, Edwardo! – woła przerażona nauczycielka.

I zaczynam ponownie mówić o wojnie i o stosunkach na Krymie; ale myśl moja błądziła gdzie indziej. Nie byłem już odurzony, ale wręcz ogłuszony, ziemia usuwała mi się spod nóg i jak już nieraz mi się to przytrafiło, straciłem równowagę. Wstaję z kanapy, by odejść. Zatrzymuje mnie jednak doktor.

– W tej chwili słyszałem o panu hymny pochwalne – mówi.

– Hymny pochwalne? Od kogo?

– Od Edwardy. Stoi jeszcze w narożniku i wpatruje się w pana płonącymi oczyma. Nigdy tego nie zapomnę, wyglądała zakochana po uszy i oznajmiła głośno, że jest pełna podziwu dla pana.

– To doskonale! – odparłem ze śmiechem. Ach, chaos miałem w głowie, ani jednej jasnej myśli.

Podszedłem do barona, pochyliłem się ku niemu, jak gdybym zamierzał mu coś szepnąć, i zbliżywszy się dostatecznie, naplułem mu w ucho. Zerwał się i wlepił we mnie idiotyczne spojrzenie. Później zauważyłem, jak o zajściu tym opowiadał Edwardzie i jak ona się tym stropiła. Pomyślała zapewne o swych trzewikach, które cisnąłem w morze, o owych filizankach i kieliszkach, które potłukłem dzięki swej niezdarności, i o wszelkich innych wykroczeniach przeciwko dobremu tonowi. Wszystko to odżyło niezawodnie w jej pamięci. Wstyd mnie ogarnął, koniec ze mną. Gdziekolwiek się zwróciłem, spotkałem spojrzenie wystraszone i zdumione, przeto wykradłem się z Sirilund chyłkiem bez pożegnania, bez podziękowania.

XXIX

Baron ma wyjechać; z Bogiem! Nabiję fuzję, wejdę na szczyt góry i wystrzelę na cześć jego i Edwardy. Wydrążę w skale dziurę głęboką i wysadzę ją w powietrze na cześć jego i Edwardy. I wielki blok skalny potoczyć się musi z góry, i runąć w morze w chwili przejazdu statku. Znam takie miejsce, koryto górskie, gdzie dawniej już piargi staczały się i wyżłobiły wręcz drogę do morza. A tam na dole znajduje się przystań rybacka.

– Dwa wiertaki minerskie! – mówię do kowala.

I kowal ostrzy dwa świdry minerskie...

Ewie wyznaczono nowe zajęcie – furmanienie na przestrzeni od młyna do pomostu ładunkowego i z powrotem. Wykonywać musi robotę parobka i transportować worki z żytem i mąką. Spotykam ją, wygląda wspaniale w swej młodości. O, Boże, jakże uśmiech jej słodko płonie. Spotykałem ją co wieczora.

– Wyglądasz, najdroższa, tak, jak gdybyś nie miała żadnych kłopotów.

– Nazywasz mnie najdroższą! Nieuczona jestem, ale pozostanę ci wierna. Będę ci wierna, choćbym z tego powodu miała umrzeć. Pan Mack staje się co dnia sroższy, ale nic to. Krzyczy i wydziwia nade mną, ale ja mu nic na to nie odpowiadam. Raz schwycił mnie nawet za ramię i aż poszarzał z wściekłości. Jedno tylko mam zmartwienie.

– I jakież to?

– Pan Mack wygraża się tobie. Powiedział do mnie: „Aha, tobie porucznik we łbie!“ Odpowiedziałam na to: „Tak jest, ja do niego należę”. Wtedy zapowiedział: „No, poczekaj tylko, już ja go urządzę!“ Powiedział to wczoraj.

– Głupstwo, niechże grozi... Ewuniu, wolno mi zobaczyć, czy wciąż jeszcze masz takie małe nóżki? Zamknij oczy i pozwól, że się przyjrzę!

I z zamkniętymi oczami rzuca mi się na szyję. Drży cała. Zanoszę ją w gęstwę. A koń stoi i czeka.

XXX

Siedzę przy skale i wiercę. Wokół mnie przeźroczyste, kryształowe powietrze jesienne. Uderzenia moje w wiertak rozbrzmiewają równo i rytmicznie. Ezop spogląda na mnie zdziwiony. Uczucie zadowolenia rozpiera niekiedy moją pierś; nikt nie wie, że siedzę tu na odludnej skale.

Ptaki przelotne już odleciały; szczęśliwej drogi i rychłego powrotu! Tylko sikorki i sosnowki, i gdzieś tam płochacz halne uwijają się wśród piarżysk i zarośli podgórskich – pippip! Wszystko tak dziwnie zmienione, na tle szarych głazów czernieni się krwawą plamą brzoza karłowata, tu dzwonek, a tam z wrzosowiska wlatuje szerszeń i kołysz się, i brzęczy cichutko piosenkę – pst! Ponad wszystkim jednak unosi się w górze wysoko z wyciągniętą drapieżnie szyją czatujący orzeł morski.

I tak zapada wieczór. Składam świdy i dłuto pod kamień i odpoczywam. Wszystko drzemie, od strony północnej księżyc sunie i góry rzucają olbrzymie cienie. Jest pełnia, księżyc wygląda niby wyspa płonąca, niby okrągłą mosiężną zagadka, dokoła której ja krążę i która mnie zadziwia. Ezop podnosi się i jest niespokojny.

– Czego chcesz, Ezop? Co do mnie, zmęczony jestem własną troską, pragnę ją zapomnieć, zatopić ją pragnę. Ezop, leżeć, cicho! Nie chcę niepokoju. Ewa zapytuje: „Czy myślisz niekiedy o mnie?“ Odpowiadam: „O tobie zawsze“. Ewa znowu pyta: „A czy chętnie o mnie myślisz?“ Odpowiadam: „Zawsze chętnie, nigdy inaczej“. Potem Ewa rzuca uwagę: „Włosy ci siwieją“. I ja odpowiadam: „Ano, zaczynają siwieć“. Lecz Ewa pyta: „Czyżby siwiały od czegoś, o czym rozmyślasz?“ I na to odpowiadam: „Możliwe“. Ewa przeto konkluduje: „W takim razie nie tylko o mnie myślisz...“ Ezop, uspokój się, wolej ci o czymś innym opowiem...

Ale Ezop stoi i chwyta wiatr od strony doliny, skomli i ciągnie mnie za spodnie. Gdy nareszcie wstaję i idę za nim, szamoce się i rwie naprzód jak opętany. Łuna na niebie ponad lasem. Przyspieszam kroku, oczom moim, ukazuje się pożar, olbrzymi płomień. Zatrzymuję się i wytrzeszczam oczy, posuwam się naprzód o kilka kroków i wytrzeszczam oczy – w płomieniach stoi moja chata.

XXXI

Pożar był dziełem pana Macka, domyśliłem się tego od razu. Przepadły skóry moje i skrzydła, i wypchany mój orzeł przepadł, spłonęło wszystko. Co teraz? Dwie noce przespałem pod gołym niebem, a do Sirilund nie poszedłem i o przytułek nie prosiłem. W końcu wynająłem opuszczoną chatę rybacką opodal przystani i uszczelniłem ją suchym mchem. Spałem na stercie czerwonych krzewów brusznicy. I znowu miałem dach nad głową.

Edwarda przysłała posłańca i kazała powiedzieć, że słyszała o mym nieszczęściu i ofiarowuje mi w imieniu ojca pokój w Sirilund. Edwarda wzruszona? Edwarda wspaniałomyślna? Nie dałem jej żadnej odpowiedzi. Dzięki Bogu nie byłem już bezdomny, i to, że propozycję Edwardy zbyć mogę milczeniem, napełniało mnie dumną radością. Spotkałem ją z baronem na drodze, szli pod rękę; spojrzałem im w oczy i mijając ich, ukloniłem się. Ona przystanęła i zapytała:

– Panie poruczniku, czyż nie chce pan u nas zamieszkać?

– Już sobie urządziłem nowe mieszkanie – odparłem i przystanąłem również.

Spojrzała na mnie, a pierś jej gwałtownie pracowała.

– I u nas przecie nie byłby pan zbyt skrupowany – rzekła.

W sercu moim drgnęła wdzięczność, lecz nie potrafiłem się zdobyć na odpowiedź.

Baron szedł dalej wolnym krokiem.

– A może mnie pan już teraz w ogóle nie chce widzieć? – zapytała.

– Dziękuję pani, panno Edwardo, za ofiarowany mi przytułek – odparłem. – Postąpiła pani tym szlachetniej, ile że stało się to zapewne bez przyzwolenia ojca pani. – I dziękowałem jej z odkrytą głową.

– Na Boga, Glahn, czy pan się już nigdy nie chce ze mną spotkać? – rzekła nagle.

Rozległo się wołanie barona.

– Baron woła – rzekłem i ponownie nisko się ukloniłem.

I powędrowałem w górę ku mojej minie. Nic, nic już nie wytrąci mnie z równowagi. Spotkałem Ewę.

– A widzisz! – zawołałem. – Pan Mack nie zdoła mnie stąd wykurzyć. Spalił mi chatę, a ja mam już inną... – Niosła szczotkę i wiadro ze smołą. – I co ty na to, Ewo?

Pan Mack kazał wyciągnąć jedną z łodzi na plac warsztatowy pod stokiem górskim i Ewie kazał wysmarować ją smołą. Pilnował jej na każdym kroku, musiała go słuchać. Ale czemu właśnie na placu warsztatowym? Czemu nie obok ładowni?

– Pan Mack tak rozkazał...

– Ewo, Ewuniu kochana, niewolnicą się stałaś i mimo to nie skarżysz się. Oto teraz znowu się uśmiechasz, a w uśmiechu twoim tętni życie, chociaż jesteś niewolnicą.

Kiedyś zaszedł do swej miny, zostałem czymś zaskoczony. Spozstrzegłem, że ktoś tu był. Zbadałem ślady na kurzu i żwirze i poznałem odcisk długich czubatych butów pana Macka. Po co on tu łązi i czego węszy? – pomyślałem, rozglądając się dokoła. Nie było nikogo. Nie wzbudziło to jednak żadnego we mnie podejrzenia.

Usiadłem przeto i począłem walić w wiertak, nie przeczuwając, jakie popełniam szaleństwo.

XXXII

Statek pocztowy nadszedł, przywiózł mi mundur i miał zabrać barona oraz skrzynie jego z muszlami i zbiorami morszczyanu. Obecnie załadowuje się przy pomoście beczki z śledziami i tranem, a pod wieczór miał odpłynąć.

Biorę dubeltówkę i nabijam obie lufy mnóstwem prochu. Uczyniwszy to, skinąłem głową z zadowolenia. Następnie idę w góry i napełniam prochem również i minę; i znowu zadowolony kiwam głową. A więc wszystko gotowe. Kładę się i czekam.

Czekałem długie godziny. Cały czas słyszałem chrobot windy okrętowej, pracującej przy ładowni. Zaczęło się zmierzchać. Nareszcie odzywa się gwizd, towar załadowany, statek wyrusza. Teraz należy mi jeszcze kilka minut poczekać. Księżyc nie wzeszedł jeszcze, a ja niby obłąkaniec wlepiam oczy w zapadający mrok wieczora.

Kiedy spoza kępy wysunął się dziób statku, zapaliłem lont i szybko się cofnąłem. Upłynęła minuta. Nagłe rozlega się huk, grad odłamków kamiennych wybucha w górę czarną, chmurą, góra zadrzała i skała stacza się z grzmiotem w przepaść. Grzmot odbija się echem dokoła o wszystkie góry. W tejże chwili, chwytam strzelbę i strzelam raz, a echo odpowiada po wiele, wielekroć. Po chwili strzelam drugi raz. Salutacja moja wstrząsa powietrze, a echo niesie jej łoskot w daleki świat; zdawać się mogło, że wszystkie góry zmówiły się, by wznosić okrzyki pożegnalne na cześć odpływającego statku. Mija chwila, powietrze uspokaja się, echo w górach milknie i ziemia znowu spoczywa w spokoju i milczeniu. Statek znika w pomroce.

Drżąc jeszcze z niezmiernego napięcia, biorę świdry i dubeltówkę pod pachę i chwiejnym krokiem schodzę z góry. Obrałem drogę najkrótszą, nie spuszczaając oczu z dymiącego śladu, pozostawionego przez runięcie mej skały. Ezop podąża obok i ustawicznie łbem potrząsa, i parska, i kicha z powodu spalenizny.

Kiedym się znalazł na placu warsztatowym, ugodził mnie widok, który wstrząsnął mną straszliwie do szpiku kości: Oto łódź leżała tam strzaskana przez spadający głaz, a obok Ewa, Ewa zmiądzona, zdruzgotana, jednym uderzeniem rozszarpana, rozerwana od góry do dołu. Ewa nie żyje.

XXXIII

Cóż więcej mam pisać? Przez wiele dni nie strzelałem już ani razu; nie miałem nic do jedzenia, więc też nic nie jadłem i siedziałem w swej szopie. Ewę zawieziono do kościoła w prywatnej, biało malowanej łodzi pana Macka, ja zaś udałem się drogą lądową na spotkanie jej nad grobem...

Ewa nie żyje. Gzy pamiętasz jej główkę dziewczęcą z zaczesaniem jak u zakonnicy? Przychodziła tak cichutko, odkładała dźwigany ciężar i uśmiechała się. A czy widziałeś, ile życia tętniło w tym uśmiechu? Milcz, Ezop, przypominam sobie pewną dziwną legendę sprzed czterech pokoleń, z czasów Iseliny, kiedy Stamer był kapłanem.

Pewną dziewczynę więziono w murowanej wieży. Kochała ona pewnego pana. Dlaczego? Pytaj wiatru i gwiazd, pytaj boga życia, bo nikt inny tego nie wie. I pan ten przyjacielem jej był i kochankiem. Ale czas mijał i dnia pewnego powszedniego ujrzał inną, i serce jego odwróciło się.

Niby młodzieniec kochał swoją dziewczynę. Błogosławieństwem bożym nazywał ją często i swoją gołąbką, a ona miała pierś gorącą i falującą. On rzekł: – Daj mi serce swoje! – I ona dała mu je. On rzekł: – Czy mogę cię prosić o coś, ukochana? – A ona odparła w upojeniu: – Tak. – I dała mu wszystko, a on jej nawet nie dziękował.

Tę drugą kochał jak niewolnik, jak wariat i zarazem jak żebrak. Dlaczego? Zapytaj pyłu przydrożnego i liści spadających, zapytaj zagadkowego boga życia, bo nikt inny tego nie wie. Ona nic mu nie dała, nie, nic nie dała, a on jej mimo to dziękował. Ona rzekła: – Daj mi swój spokój i rozum swój! – A on martwił się tym tylko, że nie prosiła o życie jego.

I dziewczynę jego zamknięto w wieży...

– Co ty robisz, dziewczyno, siedzisz tu i uśmiechasz się?

– Myślę o czymś, co było przed dziesięciu laty. Wtedy jego spotkałam.

– I wciąż jeszcze myślisz o nim?

– I wciąż jeszcze o nim myślę.

I czas, mija...

– Co ty robisz, dziewczyno? Czemu siedzisz tu i uśmiechasz się?

– Imię jego wyszywam na chustce.

– Czyje imię? Czy tego, co cię wtrącił do więzienia?

– Tak, tego, któregom spotkała przed dwudziestu laty.

– I wciąż jeszcze myślisz o nim?

– Myślę o nim, tak jak dawniej.

I czas mija...

– Co ty robisz dziewczyno w więzieniu?

– Starzeję się i za słabe już mam oczy do szycia, przeto tynk zdrapuję ze ściany. Z tynku ulepię czarkę, jako upominek dla niego.

– O kimże mówisz?– r O kochanku moim, o tym, który mnie zamknął w wieży.

– I dlatego się uśmiechasz, że on ciebie uwięził?

– Myślę o tym, co on teraz powie. „Zobacz tylko, zobacz – powie – dziewczę moje przysłało mi czarkę maleńką, w tych trzydziestu latach nie zapomniała o mnie.“

I czas mija...

– Jakże, dziewczyno siedzisz w więzieniu, nic nie robisz i uśmiechasz się?

– Starzeję się, starzeję się, oczy moje oślepyły, więc tylko myślę.

– Czy o tym, któregoś spotkała przed laty czterdziestu?

– O tym, któregoś spotkała, kiedyś była młoda. Możliwe, że przed czterdziestu laty.

– A czy nie wiesz ty, że on już nie żyje? Bledniesz, staruszko, nie odpowiadasz, milczysz, usta ci zbieleły, już nie oddychasz...

Widzisz, taka to dziwna opowieść o dziewczynie w wieży. Zaczekaj no, Ezop, coś jeszcze zapomniałem: Dnia pewnego usłyszała z dziedzińca głos swego kochanka i padła na kolana, i oblała się rumieńcem. Miała wtedy lat czterdzieści...

Oddaję ciebie ziemi, Ewo, i w pokorze całuję piasek na twojej mogile. Kiedy myślę o tobie, wspomnienie wielkie, różane przenika mnie do głębi, a kiedy myślę o uśmiechu twoim, zdaje mi się, że spływa na mnie łaska błogosławieństwa. Dałaś wszystko, wszystko dałaś ochoczo i szczerze, ponieważ dzieckiem byłaś własnego najistotniejszego życia, dzieckiem upojonym. Lecz inne, które nawet spojrzeń swoich skąpią, pochłaniają wszystkie moje myśli. Dlaczego? Spytaj owych dwunastu miesięcy i statków na morzu, spytaj serca swego zagadkowego boga...

XXXIV

Pewien człowiek zapytał mnie:

– Czy pan już przestał polować? Ezop biega po lesie i goni zająca.

Odpowiedziałem:

– Idź i upoluj go za mnie.

Minęło kilka dni. Pan Mack odwiedził mnie, oczy mu zapadły, twarz poszarzała. Pomyślałem sobie: Czy ja naprawdę znam się na ludziach, lub czy się nie znam? Sam nie wiem.

Pan Mack mówił o oberwaniu się skały, o katastrofie:

– Nieszczęście, smutny przypadek, nie moja w tym wina.

Powiedziałem na to:

– Jeśli był ktoś, kto za wszelką cenę chciał mnie z Ewą rozłączyć, to dopiął swego. Niechaj będzie od Boga przeklęty!

Pan Mack spojrział na mnie zezem i podejrzliwie. Bąknął coś o pięknym pogrzebie. Nic skąpiono na niczym.

Siedząc tam, podziwiałem jego chytrą układność.

Nie żądał żadnego wynagrodzenia za łódź, strzaskaną przez oberwaną przeze mnie skałę.

– Hm – rzekłem – czy naprawdę nie żąda pan ani grosza za łódź, za wiadro smoły, za szczotkę?

– Nie, drogi panie poruczniku – odparł – jakże pan mógł w ogóle pomyśleć o czymś podobnym! – I obrzucił mnie wzrokiem pełnym nienawiści.

Od trzech tygodni nie widziałem Edwardy. Chociaż owszem, raz jeden spotkałem ją w kramie, dokąd zaszedłem po chleb. Stała za ladą i przerzucała różne materiały. Oprócz niej obecni byli tylko dwaj subiekci.

Na głośne moje powitanie spojrzała na mnie, lecz nic nie odpowiedziała. Ubrdało mi się, że w jej obecności nie wypada mi kupować chleba, i zażądałem śrutu i prochu. I przez cały czas nie spuszczałem z niej oczu.

Suknia szara i o wiele za ciasna, obszycie dziurek znacznie wyniszczone; płaska pierś pracowała z wysiłkiem. Jakże ona wyrosła w ciągu lata! Czoło miała myślące, lukiem zatoczone brwi widniały na jej twarzy jakby dwie zagadki, ruchy jej stały się dojrzalsze. Patrzyłem na jej ręce, długie, cienkie palce wywarły na mnie wrażenie silne, tak że zadrżałem. Wciąż jeszcze przerzucała materiały.

Stałem w kramie i pragnąłem, ażeby Ezop pobiegł do niej za ladę i ją poznał; wtedy przynajmniej mógłbym go natychmiast odwołać i przeprosić za jego natręctwo. Co by też na to odpowiedziała?

– Bardzo proszę! – rzekł subiekt.

Zapłaciłem, zabrałem paczki i znowu głośno się pożegnałem. Spojrzała na mnie, ale i teraz nic nie odpowiedziała. Doskonale! – pomyślałem; może jest już narzeczony barona. I odszedłem bez chleba.

Wyszedłszy, spojrzałem w okno. Nikt za mną nie patrzył.

XXXV

Potem spadł pewnej nocy pierwszy śnieg i w chacie mojej zaczęło być zimno. Było tam palenisko, na którym gotowałem strawę, ale drzewo słabo się paliło, a od ścian wiało niezgorzej, mimo że uszczelniłem je wedle możliwości najdokładniej. Jesień minęła i dni stały się krótkie. Słońce zdołało jeszcze stopić pierwszy śnieg i oswobodzić ziemię, ale noce były mroźne i woda zamarzała. I zamarły wszelkie trawy i owady wszelkie.

Cisza tajemnicza kładła się na ludzi, dumali i milczeli, oczy ich wyczekiwały zimy. Od suszyska nie dochodziły już żadne głosy i przystań spoczywała w spokoju, wszystko szło naprzeciw tej wiecznej nocy polarnej, kiedy to słońce zasypia w morzu. Głucho, głucho rozbrzmiewały uderzenia wiosła jakiejś samotnej łodzi.

W łodzi siedziała pewna dziewczyna.

– Gdzieś to była, moja dziewczynko?

– Nigdzie.

– Nigdzie? Słuchaj no, poznaję ciebie, spotkałem ciebie latem.

Przybiła do brzegu, wysiadła i przycumowała łódź.

– Pastuszką byłaś, robiłaś pończochę i wtedy spotkaliśmy się pewnej nocy.

Rumieni się z lekka i śmieje się zakłopotana.

– Maleńka ty moja, córo górskich połonin, wejdźże do chaty, niechaj ci się przyjrę. Na imię ci przecie Henryka.

Ale ona mija mnie w milczeniu. Jesień, zima wzięły ją w swoje objęcia, już spały jej zmysły.

Już i słońce zstąpiło w morze.

XXXVI

I po i raz pierwszy ubrałem się w mundur, i zszedłem do Sirilund. Serce mi bilo.

Wszystko odżyło w mej pamięci, od pierwszego dnia począwszy, kiedy to Edwarda podbiegła do mnie i rzuciła mi się na szyję w obecności wszystkich. Odtąd rzucała mną wiele miesięcy i sprawiła, że włos mój osiwiiał. Mojaż to własna wina? Tak, gwiazda moja mnie omamiła. Pomyślałem: Jakże się radować będzie, gdy przed nią się rzucę i wyznam dziś tajemnicę mego serca! Poda mi krzesło i każe przynieść wina i wznosząc kielich do ust, powie: „Panie poruczniku, dziękuję panu za te wspólne chwile, nie zapomnę ich nigdy!“ Lecz jeśli potem we mnie zamigoce radość i szczypta nadziei, wtedy zacznie udawać, że pije, i odstawi kielich nietknięty. I nie będzie już tego ukrywała, nie, przeciwnie – będzie chciała mi to właśnie okazać, że udaje. Taka jest Edwarda.

Dosyć tego, niebawem wybije ostatnia godzina!

I schodząc drogą do Sirilund, myślałem dalej: Mundur mój robi na niej wrażenie, galony są nowe i ładne. Szabla uderzać będzie z brzękiem o podłogę. Uczułem dreszcz nerwowej radości i szepnąłem do siebie: – Kto wie, co się jeszcze stać może! – Zadarłem głowę i machnąłem ręką. – Dosyć upokorzeń, honor nade wszystko! – Obojętne mi było, co się stanie, nie pragnąłem już zbliżenia. – Proszę wybaczyć, że się nie oświadczam o rękę pani, piękna panienko...

W podwórzu spotkałem pana Macka, miał oczy jeszcze więcej zapadłe i jeszcze bardziej był szary...

– Wyjazd? Ano. Co prawda ostatnie czasy nie były zbyt przyjemne dla pana, co? Chata się panu, spaliła. – I pan Mack się uśmiechnął.

Nagle doznałem wrażenia, że widzę przed sobą najmędrszego człowieka na świecie.

– Wejdz pan, panie poruczniku, Edwarda jest w domu. No, żegnam pana. Zresztą spotkamy się chyba jeszcze na pomoście przy odejściu statku. – Po czym oddalił się z głową spuszczoną, zamyślony, pogwizdując.

Edwarda siedziała w pokoju, czytała. Gdy wszedłem, zdumiała na chwilę na widok mego munduru, spojrzała na mnie z boku niby ptak, a nawet się zarumieniła. Otworzyła usta.

– Przychodzę, by się pożegnać – wykrztusiłem nareszcie.

Od razu wstała; zauważyłem, że słowa moje wywarły na niej pewne wrażenie.

– Glahn, pan wyjeżdża? Teraz?

– Najbliższym statkiem. – Chwytam jej rękę, obie jej ręce, wpadam w zachwyty całkiem naiwny, wybucham: – Edwardo! – i wlepiam w nią oczy.

I w tej samej chwili staje się zimna, zimna i harda. Wszystko się w niej zbuntowało przeciwko mnie, przybrała postawę sztywną, wyniosłą. Stałem przed nią jakby żebrak, pieściłem jej ręce i pozwoliłem jej się oddalić. Pamiętam, że od tej chwili bezradny powtarzałem bezmyślnie: – Edwardo! Edwardo! Edwardo! – I kiedy zapytała: – A więc? Co mi pan chciał powiedzieć? – nie potrafiłem się zdobyć choćby na słowo odpowiedzi.

– Pomyśleć, że pan już odjeżdża! – powtórzyła. – Kto też przyjedzie na przyszły rok?

– Ktoś inny – odparłem. – W tym czasie pewnie chata odbudowana zostanie na nowo.

Milczenie. Sięgnęła znowu po książkę.

– Przykro mi, że ojca nie ma w domu – odezwała się. – Ale pożegnaj go w pańskim imieniu.

Nic na to nie odpowiedziałem. Postąpiłem naprzód o kilka kroków, ponownie ująłem jej rękę i powiedziałem:

– A więc, żegnam panią, Edwardo.

– Żegnam pana – odpowiedziała.

Otwarłem drzwi, udając, że wychodzę. A ona siedziała już z książką w rękę i czytała, naprawdę czytała i przewracała kartki. Pożegnanie moje nie zrobiło na niej żadnego, dosłownie żadnego wrażenia.

Zakaszlałem.

Odwróciła się i rzekła zdziwiona:

– Pan jeszcze nie wyszedł? Byłam przekonana, że pan już poszedł.

Bóg raczy wiedzieć, ale zdziwienie jej było zbyt wielkie, niebacznie przeholowała w swym zdziwieniu, więc przyszło mi na myśl, że przez cały czas wiedziała doskonale o mej obecności.

– Teraz już pójdę – rzekłem.

Wtedy wstała i podeszła ku mnie.

– Skoro pan już wyjeżdża, pragnęłabym mieć pamiątkę po panu – powiedziała. – Chciałabym o coś poprosić, ale może to życzenie zbyt wygórowane. Czy dałby mi pan Ezopa?

Odpowiedziałem bez namysłu:

– Owszem.

– W takim razie może mi go pan jutro przyprowadzi – rzekła.

Wyszedłem.

Spojrzałem w okno. Nie ma nikogo.

Teraz już po wszystkim...

Ostatnia noc w chacie. Rozmyślałem, liczyłem godziny; gdy nadszedł rano, przygotowałem sobie ostatni posiłek. Był to dzień zimny.

Dlaczego prosiła mnie, ażebym osobiście przyprowadził psa? Czyżby pragnęła ze mną pomówić, oznajmić mi coś na pożegnanie? Niczego się już nie spodziewam. A jak by się obchodziła z Ezopem? – Ezop, Ezop, ona cię dręczyć będzie! Z mojej winy będzie cię bić, a może i pieścić, i dogadzać, ale w każdym razie zależnie od kaprysu smagać cię będzie i zmarnuje cię doszczętnie...

Przywołałem Ezopa, poklepałem go, przygarnąłem do siebie i sięgnąłem po fuzję. Zaczął już skomleć z radości, że pójdziemy na polowanie. I znowu przygarnąłem go do siebie, przyłożyłem lufę do karku Ezopa i pociągnąłem za cyngiel.

Nająłem jakiegoś człowieka, by ścierwo Ezopa zaniósł do Edwardy.

XXXVII

Statek pocztowy miał wyruszyć w ciągu popołudnia. Udałem się na pomost ładunkowy, bagaż mój był już na pokładzie. Pan Mack uściskał mi dłoń i zabawiał mnie zapowiedzią dobrej pogody: wspaniały czas, sam nie byłby od tego, przejechać się przy takiej pogodzie. Przyszedł i doktor w towarzystwie Edwardy; czułem, że kolana uginają się pod mną.

– Przyszliśmy zobaczyć jeszcze, czy dostał pan jako tako dobre pomieszczenie na statku – rzekł doktor.

Więc podziękowałem grzecznie.

Edwarda spojrzała mi wyzywająco w oczy i rzekła:

– Muszę wam także podziękować za psa waszego.

I zacięła usta, usta miała całkiem białe. Znowu odezwała się do mnie przez „wy“.

– Kiedy statek odchodzi? – zapytał doktor przechodzącego człowieka.

– Za pół godziny.

Nie odezwałem się ani słowem.

Edwarda niecierpliwiła się, przestępowała z nogi na nogę i wreszcie zapytała:

– Doktorze, czy nie czas wracać? Załatwiłam to, co było moim zadaniem.

– Nie, pani spełniła swoje zadanie – poprawił doktor.

Zaśmiała się upokorzona nieustannymi jego pouczeniami i odparła:

– A czy to nie to samo mniej więcej, co ja powiedziałam?

– Nie – odpowiedział krótko.

Spojrzałem na niego. Mały ten człowieczek stał tam zimny i stanowczy; obmyślił sobie pewien plan i postępował według niego z całą ścisłością. A jeśli mimo to przegra? To i wtedy się z tym nie zdradzi, twarz jego nie skrzywi się nigdy.

Zmierzchało się.

– No, bywajcie państwo zdrowi – rzekłem. – I dzięki za wszystko, za każdy dzień.

Edwarda spojrzała na mnie w milczeniu. Po czym odwróciła głowę i tak stojąc, spoglądała na statek.

Wsiadłem do łodzi. Edwarda wciąż jeszcze stała na bulwarze. Kiedym znalazł się na pokładzie, doktor krzyknął jeszcze: – Szczerzej drogi! – r Spojrzałem w ich stronę, lecz w tejże chwili Edwarda odwróciła się i odeszła z bulwaru w stronę domu, szybko i wyprzedzając znacznie doktora. Taką widziałem ją po raz ostatni.

Fala smutku zalała mi serce...

Parowiec ruszył; widziałem jeszcze szyld pana Macka: „Skład soli i pustych beczek”. Ale niebawem się zatarł. Na niebie ukazały się księżyc i gwiazdy, góry wznosiły się dokoła i widziałem lasy niezmierzone. Tam stoi młyn, a tam, tam stała moja chata, która spłonęła; wysoki szary głaz sterczy samotny na zgliszczach. Iselino, Ewo...

Noc polarna kładzie się na góry i doliny.

XXXVIII

Spisałem to dla zabicia czasu. Sprawiało mi przyjemność wrócić myślą do owego lata na dalekiej Północy, gdzie tylokrotnie liczyłem godziny, a mimo to czas szybko uchodził. Wszystko się zmieniło, tylko dni mijać już nie chcą.

Miewam często jeszcze chwile wesołe, czas jednak stoi w miejscu i nie pojmuję, jak stać może tak bez ruchu. Wystąpiłem z wojska i wolny jestem jak król. Wszystko w należyтым porządku, spotykam się z ludźmi, jeżdżę powozem, kiedy niekiedy zamykam jedno oko i palcem wskazującym piszę po niebie, łaskoczę księżyc pod brodą i zdaje mi się, że księżyc się śmieje, że śmieje się głośno w wariackim zadowoleniu z łaskotania pod brodą. Wszystko się uśmiecha. Niekiedy strzelam korkiem z butelki i zwołuję do siebie ludzi wesołych.

Co się tyczy Edwardy, wcale o niej nie myślę. Czemuż bym nie miał zapomnieć o niej całkowicie po tak długim czasie? Honor nade wszystkim. I jeśli mnie kto zapyta, czy mam jakiegokolwiek żmartwienie, wtedy odpowiadam bez zachłyśnięcia: – Nie, nie mam żadnych żmartwień...

Kora leży i patrzy na mnie. Dawniej był Ezop, teraz jednak leży Kora i patrzy na mnie. Na kominku tyka zegar, a za otwartymi oknami szumi pogwar miasta. Pukanie do drzwi i listowy wręcza mi list. Na kopercie widnieje korona. Wiem, od kogo ten list, od razu się domyślam, a może to koszmar nocy bezsennej. Lecz list ten nie zawiera ani słowa, a tylko dwa zielone ptasie pióra.

Lęk lodowaty mnie przenika, zimno mi. – Dwa zielone ptasie pióra! – mówię do siebie. – Ano, co na to począć? Ale czemuż tak ziębnę? Aha, to ten przekłety przewiew od okien.

I zamykam okna.

Tak więc leżą tu przede mną dwa pióra ptasie! – rozmyślam w dalszym ciągu i zdaje mi się, jakobym je znał. Przypominają mi mały figiel z dalekiej Północy, taką małą przygodę, jedną spośród wielu przygód. Zabawne, że dwa te piórka znowu widzę. I nagle zdaje mi się, że widzę pewną twarz i słyszę pewien głos, a głos ten mówi: – Proszę bardzo, panie poruczniku, oto wasze pióra!

Wasze pióra...

– Kora, leżeć, słyszysz, jeśli się ruszysz, zabiję! – Ciepło jest, upał nieznośny; po jakiego diabła zamknąłem okna! Otworzyć okna, drzwi otworzyć! Hej, do mnie, wy, ludzie weseli, do mnie! Hej, pachołku miejski, pobiegnij na miasto i zwołaj do mnie wielu ludzi...

I dzień uchodzi, ale czas stoi w miejscu.

Tak więc spisałem to wszystko dla własnej przyjemności i bawiłem się przy tym, jak się dało. Żadna troska mnie nie gnębi, a tylko rwie tęsknota, pragnienie ucieczki dokąd, sam nie wiem, byleby jak najdalej, może do Afryki, do Indii. Ponieważ do lasów przynależę i do samotności.

ŚMIERĆ GLAHNA

(Dokument z roku 1861)

I

Rodzina Glahnów może długo jeszcze za pośrednictwem gazet poszukiwać zaginionego porucznika Tomasza Glahna; on przecie nigdy już nie wróci. Umarł, i ja wiem nawet, jakim sposobem umarł.

Ostatecznie, prawdę mówiąc, nie dziwię się, że rodzina jego nie ustaje w poszukiwaniach; Tomasz Glahn bowiem był pod wielu względami człowiekiem niepospolitym i powszechnie lubianym. Nadmieniam o tym w imię sprawiedliwości, nie bacząc na to, że Glahn jest wciąż jeszcze wrogiem mej duszy i że pamięć o nim budzi we mnie nienawiść. Wyglądał wspaniale, kipiał młodością i w zachowaniu był czarujący. Gdy zwrócił na kogo gorące swe zwierzęce spojrzenie, odczuwało się wyraźnie jego siłę, nawet ja ją odczuwałem. Pewna dama miała się wyrazić: – Gdy on na mnie patrzy, staje się bezsilna; czuję przy tym jakieś podniecenie wewnętrzne, jak gdyby mnie dotykał.

Ale Tomasz Glahn posiadał i wady, których nie myślę ukrywać, ponieważ go nienawidzę. Czasami umiał być naiwny jak dziecko, taki był dobroduszny i tym może olśniewał kobiety, Bóg jeden wie. Potrafił gadać z kobietami i śmiać się z ich pustych niedorzeczności, i tym właśnie wywierał na nie urok. O pewnym grubasie z miasta powiedział, że wygląda, jakby połec sadła nosił w spodniach; i śmiał się z tego dowcipu, którego ja byłbym się powstydział. Innym razem, kiedyśmy mieszkali w jednym domu, wykazał znowu swoją głupotę w sposób całkiem jaskrawy: Pewnego ranka przychodzi do mnie gospodyni i pyta, co ma podać na śniadanie, na co odpowiedziałem w pośpiechu: – Kawalek jajka i jedno chleba. – Tomasz Glahn był właśnie u mnie – mieszkał w izbie nade mną, na poddaszu – i z powodu mej omyłki wybuchnął dziecinnym śmiechem. – Kawalek jajka i jedno chleba – powtarzał nieustannie, dopóki nie spojrziałem na niego zdziwiony, zmuszając do milczenia.

Być może, że i później przypomnę sobie różne jego śmieszności, wtedy również je tu spiszę; nie będę go oszczędzał, bo wciąż jeszcze jest mi wrogiem. Dlaczego miałbym się tu powodować jakąś szlachetnością? Dodać jednak muszę, że niedorzeczny był jedynie w stanie podchmielenia. Ale czyż stan podchmielenia nie jest sam przez się wielkim uchybieniem?

Kiedy spotkałem go na jesieni 1859 roku, miał lat trzydzieści dwa, byliśmy w równym wieku. Miał wówczas szeroki zarost i ubierał się stale w wełnianą bluzę myśliwską, przesadnie wyciętą i na domiar u góry rozpiętą. Początkowo zdawało mi się, że ma szyję niezwykle piękną, ale powoli zrobił sobie ze mnie śmiertelnego wroga i wtedy już nie widziałem, by szyja jego była ładniejsza od mojej, jakkolwiek nie obnażałem jej tak na pokaz. Po raz pierwszy zetknąłem się z nim na promie rzeczonym. Jechałem na polowanie do tej samej miejscowości, co on, i od razu też postanowiliśmy, że pojedziemy w głąb kraju wspólnym wozem zaprzężonym w woły, o ile by na miejsce nie było można dostać się koleją żelazną. Rozmyślnie nie wymieniam tu nazwy miejscowości, dokąd zdążaliśmy, by nikogo na ślad nie naprowadzić; rodzina Głahnów jednak może spokojnie zaniechać dalszych poszukiwań za swoim krewniakiem, ponieważ zmarł, on w tej właśnie miejscowości, do której pojechaliśmy, a której za żadną cenę nie wymienię.

O Głahnie słyszałem zresztą, zanim go poznałem, nazwisko jego nie było mi obce. Słyszałem, że miał stosunki z pewną młodą Norweżką z zamożnego domu i że ją w jakiś tam sposób skompromitował, skutkiem czego z nim zerwała. Poniosła go głupia przekora i wtedy poprzysiągł sobie za odprawę tę zemścić się na sobie samym, czym owa panna bynajmniej się nie przejęła, ponieważ było jej całkiem obojętne, co on z sobą zrobi. Odtąd nazwisko Głahna stało się naprawdę głośne, zachowywał się jak dziki człowiek, jak wariat, pił, popełniał skandale i wystąpił ze służby wojskowej. Był to także oryginalny sposób zemsty za doznaną rekuzę!

Istniała jeszcze druga pogłoska o stosunku jego do owej panny: że wcale jej nie skompromitował, lecz że rodzina jej wyprosiła go za drzwi i że panna była w, tym pomocna, skoro tylko pewien hrabia szwedzki, którego nazwiska tu nie wymienię, zaczął się o nią starać. Pogłosce tej jednak mniej wierzę, uważając pierwszą za prawdopodobniejszą, jako że Tomasza Głahna nienawidzę i że uważam go za zdatnego do rzeczy najgorszych. Lecz jakkolwiek bądź się sprawa miała lub nie miała, on sam nigdy o tym nie wspomniał, ja zaś także o to nie pytałem. Cóż mnie to mogło obchodzić?

Nie przypominam sobie, ażebyśmy podczas jazdy mówili o czym innym, jak o wiosce, do której zdążaliśmy, a której żaden z nas nie znał.

– Jest tam podobno coś w rodzaju hotelu – rzekł Głahn, szukając na mapie. – Może uda się tam zamieszkać. Gospodyni, jak mi opowiadano, to stara angielska *halfbreed*. Kacyk mieszka we wsi sąsiedniej, ma podobno wiele żon, a wśród nich, kilka dziesięcioletek.

Ano, nie wiedziałem czy kacyk ma wiele żon i czy we wsi jest hotel, dlatego milczałem, ale Głahn uśmiechał się i mnie się zdawało, że uśmiech jego jest piękny.

Zapomniałem jeszcze dodać, że mimo wspaniałej prezencji, nie był on mężczyzną żadną miarą doskonałym. Sam się przyznawał, że ma w lewej nodze zastarzałą ranę postrzałową, która powoduje nieznośne darcie na każdą zmianę pogody.

II

Po tygodniu zamieszkaliśmy u starej angielskiej Mulatki w dużej chałupie, nazwanej hotelem. Ach, co to był za hotel! Ściany z gliny i kilka desek, a deski stoczone przez białe mrówki, których wszędzie było pełno. Zamieszkałem w klitce na parterze z zielonym okienkiem na ulicę, posiadającym jedyną szybę, na domiar nie bardzo przezroczystą; Glahn natomiast wybrał sobie maleńką norkę na poddaszu, również o jednym okienku na ulicę, ale znacznie ciemniejszą i lichtsą. Słońce piekło przez słomianą strzechę, tak że w norze jego panował nieustannie w dzień i w noc upał duszny nie do zniesienia. I jeszcze jedną niedogodność posiadała norka na poddaszu: prowadziły do niej nie schody, ale nędzna drabinka o czterech szczeblach. Co miałem wobec tego uczynić? Pozostawiłem wybór mieszkania Glahnowi:

– Są dwie izby – powiedziałem – jedna na parterze, a druga na górze, wybieraj pan!

I Glahn, obejrawszy ubikacje, wybrał górną, być może dlatego, by mnie pozostawić wygodniejszą. Czyż jednak nie wywdzieczyłem mu się za to? Tak jest, nie pozostałem mu nic dłużny.

Dopóki trwała pora największych upałów, dopóty daliśmy spokój polowaniu i trzymaliśmy się chaty. Upał bowiem był szalony. Nocą sypialiśmy pod rozpiętymi siatkami, chroniącymi od wszelkiego rodzaju owadów. Lecz mimo to zdarzało się, że ośleple nietoperze wpadały na nasze siatki bez szelestu a z impetem i rozdzierały je w strzępy; przytrafiało się to często przede wszystkim Glahnowi, który z powodu upału, miał okienko w dachu stale otwarte.

We dnie wylegiwaliśmy się przed chatą na matach, paliliśmy tytoń i podpatrywaliśmy życie chat sąsiednich. Krajowcy byli to ludzie ciemnobrązowi i wargaci, z kolczykami w uszach i martwymi piwnymi oczyma. Byli prawie nadzy, przepasani w biodrach tylko strzępkiem bawełnianym lub plecionką z liści, a kobiety ubrane były nadto w krótkie bawełniane spodniczki. Dzieci zaś wszystkie bez wyjątku chodziły całkiem nagie, z wielkimi wystającymi brzuchami, błyszczącymi od oliwy.

– Kobiety są tu stanowczo za tłuste – zauważył Glahn.

I ja również byłem tego zdania, że kobiety tamtejsze są zbyt tłuste, a nawet całkiem możliwe, że ja pierwszy o tym pomyślałem, a nie Glahn, ale nie sprzecam się o to i chętnie odstępuję mu zaszczyt pierwszeństwa. Zresztą nic wszystkie kobiety były brzydkie, mimo że twarze miały duże i obrzękłe. Spotkałem we wsi dziewczynę, pewną młodą Tamulinę pół krwi, o długich włosach i zębach śnieżnej białości, była z wszystkich najładniejsza. Pewnego wieczoru natknąłem się na nią na skraju pola ryżowego; leżała na brzuchu wśród wysokiej trawy i fikała nogami w powietrzu. Umiała się ze mną rozmówić, toteż rozmawialiśmy z sobą długo, dopóki starczyło mi ochoty. Dniało już kiedyśmy się rozstali, i wtedy nie wracała do domu drogą prostą, lecz okólną, jak gdyby pragnąc upozorować, że spędziła noc w wiosce sąsiedniej. Glahn tego wieczora siedział na: środku wsi przed jakąś chatką, w towarzystwie dwóch dziewcząt, bardzo jeszcze młodych, może dziesięcioletnich. Siedział z nimi, baraszkował i pił piwo ryżowe. Takie miał gusty.

W kilka dni później wybraliśmy się na polowanie. Mijaliśmy ogrody herbaciane, pola ryżowe i łąki trawiaste. Szliśmy w kierunku rzeki, zapuszczaliśmy się w lasy, w których rosły drzewa osobliwe, podzwrotnikowe, jak bambusy, mangowce, tamaryndowce, drzewa solne, oliwne i kauczukowe, tak, Bóg raczy wiedzieć, jakie tam jeszcze rosły drzewa, o których obaj nie mieliśmy najmniejszego pojęcia. Lecz w rzece mało było wody i pozostało tak już do pory deszczowej. Strzelaliśmy dzikie gołębie i kuropatwy, a w ciągu popołudnia dostrzegliśmy dwie pantery; raz po raz i papugi przelatywały nam nad głowami. Glahn miał rękę straszliwie pewną, nigdy nie spudłował; ale bo też posiadał fuzję lepszą od mojej. I ja często strzelałem straszliwie pewnie, lecz nigdy się tym nie chełpiłem. Glahn natomiast zapowiadał nierzadko: – Temu dam pieprzu na ogon, tego podrapię po głowie! – Tak zwykł był zapowiadać przed strzałem, a kiedy ptak spadł, strzał siedział istotnie w miejscu zapowiedzianym. Gdy natknęliśmy się na owe dwie pantery, Glahn chciał koniecznie zaatakować je również ze swej śrutówki; odradziłem mu jednak, ponieważ już zmierzchać zaczęło i mieliśmy jeszcze zaledwie parę nabojów zapasowych. Oczywiście i tym się przechwalał, że wykazał odwagę uderzenia śrutem na panterę.

– Gniewa mnie, że mimo wszystko nie wypaliłem – powiedział. – Czemuż pan tak diabelnie ostrożny? Czy pragniesz pan długo żyć?

– Cieszę się, że uważa mnie pan za rozsądniejszego od siebie – odparłem.

– Hm, nie będziemy się przecie wadzili o takie głupstwo – rzekł na to.

Jego to słowa były, a nie moje; ja bowiem nie miał bym nic przeciwko temu, by się ode mnie odczepił. Zacząłem odczuwać niechęć do niego z powodu lekkomyślności jego i dziwnego uroku, który rozsiewał dokoła. Wieczorem szedłem sobie spokojnie z Maggie, Tamulinką, która została tymczasem moją przyjaciółką, i byliśmy oboje w dobrych humorach. Glahn siedzi przed chatą i kiedy go mijamy, kłania się i uśmiecha do nas. Maggie ujrzała go wtedy po raz pierwszy i od razu zaczęła się nim interesować, i ciekawie o niego dopytywać. Tak silnie wywarł na niej wrażenie, że pożegnała się ze mną, nie odprowadziwszy mnie tym razem do domu.

Gdy zwróciłem na to uwagę Glahnowi, starał się całą sprawę zbagatelizować. Lecz ja zakarbowałem to sobie. Zresztą nie do mnie się uśmiechał w chwili, gdyśmy go mijali, ale do Maggie.

– Czemu ona tak wciąż żuje? – zapytał mnie.

– Nie wiem – odparłem – żuje, bo na to zapewne wyrosły jej zęby.

Nie było to zresztą żadną dla mnie nowiną, że Maggie ustawicznie coś żuje, zauważyłem to już od dawna. Nie żuła jednak betelu, gdyż zęby miała zupełnie białe; za to wszystko inne, cokolwiek bądź jej w rękę wpadło, pakowała do ust i żuła, niby coś bardzo smacznego. Obojętne, czy to była moneta, kawałek papieru lub piórko ptasie – żuła wszystko. Lecz nie był to bezwarunkowo powód do szydzenia z niej i lekceważenia, skoro mimo wszystko była we wsi dziewczyną najładniejszą. Glahn jednak zazdrościł mi jej, w tym rzecz.

Następnego zresztą wieczoru nastąpiła znowu zgoda pomiędzy mną a Maggie i o Glahnie w ogóle nie było mowy.

III

Minął dalszy tydzień; codziennie chodziliśmy na polowanie i wybijaliśmy mnóstwo zwierzyny. I Oto pewnego wczesnego ranka, właśnie kiedyśmy weszli w las, Glahn schwycił mnie za ramię i szepnął: – Stój! – W tej samej chwili składa się i strzela. Zabił młodego lamparta. Równie dobrze mogłem być i ja strzelić, ale Glahn chciał zaszczyt ten zachować dla siebie i strzelił pierwszy. Jakże się znowu będzie chełpił! – pomyślałem. Zbliżyliśmy się do rozciągniętej bestii, była martwa, z rozdartym lewym bokiem i z kulą w grzbiecie.

Nie znoszę, gdy mnie kto chwyta za ramię, dlatego powiedziałem:

– Tak strzelić i ja bym potrafił.

Glahn spojrział na mnie.

– A może pan sądzi, że bym tego nie potrafił?

Glahn i teraz nie odezwał się ani słowem. Natomiast daje nowy dowód swej dziecinady i strzela po raz drugi do martwego już lamparta, tym razem w łeb. Patrzałem na niego całkiem zbaraniały.

– Tak – powiada dla wyjaśnienia – nie mogę dopuścić, by opowiadano, że trafiłem lamparta w bok.

– Bardzo pan dziś przezorny – rzekłem.

Próżność jego bardzo ucierpiała z powodu tak pospolitego strzału, zawsze bowiem chciał mieć palmę pierwszeństwa. Jakiż on głupi! Ale to już nie moja rzecz, nie byłbym go przecie zdradził.

Wieczorem, kiedyśmy wrócili z zabitym lampartem, zbiegli się Uczni krajowcy, by mu się przyjrzeć. Glahn objaśnił im krótko, że zastrzeliliśmy go rano, poza tym jednak nie fanfaronował. Przyszła i Maggie.

– Kto go zastrzelił? – spytała.

I Glahn odpowiedział:

– Wszakże widzisz dwa strzały, ubiliśmy go rano, zaraz po wejściu do lasu. – Obrócił zwierzę i pokazał jej obie rany, zarówno w boku, jak i we łbie. – Tędy przeszła moja kula – rzekł, wskazując ranę w boku, gdyż w błżeństwie swoim chciał wytworzyć pozór, że to ja wymierzyłem w łeb. Uważałem, że słów jego nie warto prostować, i dlatego nie przeczyłem. Następnie Glahn częstować zaczął krajowców piwem ryżowym, był szczodry, wydzielał każdemu, kto tylko się zgłosił, odpowiednią porcję.

– Obaj go ubili – powiedziała do siebie Maggie, a mimo to cały czas wlepiała oczy w Glahna.

Odciągnąłem ją na bok i rzekłem:

– Czemu wciąż tak patrzysz na niego? Przecie i ja Stoję przy tobie?

– Tak – odparła. – I słuchaj: Dziś wieczorem przyjdę.

Nazajutrz stało się. Glahn otrzymał list. Mianowicie przybiegł z listem posłaniec stacji rzecznej, nałożywszy sto osiemdziesiąt mil drogi. List pisany był ręką kobiecą, więc pomyślałem, że to od dawniejszej jego przyjaciółki, owej zamożnej panny. Glahn przeczytał list, zaśmiał się nerwowo i wręczył posłańcowi banknot dodatkowo tytułem napiwku. Lecz długo nie trwało, a już zapadł w posępną zadumę, siedział jakby zeszywniały i patrzył przed siebie okiem zdrętwiałym. Wieczorem zaś pił na umór, w towarzystwie pewnego starego karła krajowca i jego syna. Również i do mnie się zwrócił, ścisnął mnie i zmuszał do picia:

Potem ryknął śmiechem i rzekł:

– Oto siedzimy tu obaj w ostępie Indyj i strzelamy zwierzynę, co? Nie jesteście to piekielnie zabawne? A więc zdrowie wszystkich państw i krajów świata, i zdrowie wszystkich ładnych kobiet, zamężnych i niezamężnych, dalekich i bliskich. Ho! Ho! Wyobraź pan sobie, jest kawaler i jest mężatka, która stara się o jego rękę, mężatka!

– Hrabina – rzuciłem drwiąco. Powiedziałem to bardzo drwiąco i to go zabolalo. Zaskowyczał niby pies, tak go to zabolalo. Potem nagle ściągnął brwi, zaczął mrugać oczyma i zastanawiać się głęboko nad tym, czy nie powiedział za wiele, tak uroczyście obnosił się z tą odrobiną tajemnicy. Lecz w tejże chwili przybiegło przed naszą chatę kilkoro dzieci, wołając i wrzeszcząc: – Tygrysy, oho!, tygrysy! – Tygrys porwał dziecko tuż za wsią, w zaroślach pomiędzy wsią a rzeką.

Tego tylko było potrzeba Glahnowi, który był pijany i w całkowitym rozstroju. Sięgnął po sztucer i bez namysłu rzucił się w stronę zarośli. Czemu teraz jednak wziął sztucer zamiast śrutówki, skoro był tak odważny? Musiał brnąć przez rzekę, co nie było zbyt bezpieczne, jakkolwiek rzeka niedużą miała wodę, zwyczajnie jak w porze przeddeszczowej. Po chwili usłyszałem dwa strzały i bezpośrednio potem jeszcze trzeci. Trzy strzały na jedno zwierzę! – pomyślałem – lew byłby padł po dwóch strzałach, a tu wszakże była sprawa tylko z tygrysem! Ale nawet i te trzy strzały na nic się zdały, kiedy bowiem Glahn nadszedł, dziecko było już rozszarpane i w połowie pożarte. Niechybnie, gdyby nie był pijany, nie byłby próbował je ocalić.

Noc spędził hucznie w chacie sąsiedniej, wspólnie z pewną wdową i dwiema jej córkami i Bóg raczy wiedzieć, z którą z nich.

W ciągu dwóch dni Glahn nie wytrzeźwiał ani na chwilę i w licznej przebywał kompanii, pomagającej mu rzetelnie w picciu. Mnie również wzywał do udziału w pijatyce, ale na próżno. Nie zważał już na to, co mówi, i zarzucił mi, że mu zazdroszczę.

– Zazdrość pana oślepia! – powiedział.

Zazdrość! Ja mu zazdroszczę!

– No, wiecie państwo – rzekła – ja panu zazdroszczę! I Czegóż właściwie miałbym panu zazdrościć?

– Dobrze już, dobrze, w takim razie nie zazdrościsz mi i basta. A zresztą dziś wieczorem spotkałem Maggie, żuła jak zwykle.

Ugryzłem się w język i odszedłem.

IV

I znowu zaczęliśmy chodzić na polowanie. Glahn czuł, że postąpił wobec mnie niewłaściwie, i przeproszał mnie za to.

– Zresztą wszystko mi już obmierzło – rzekł. – Pragnąłbym, gdybyś pan pewnego dnia chybił i wpakował mi kulę w łeb. – Prawdopodobnie znowu ów list od hrabiny tlił w jego wspomnieniu i dopiekał mu do żywego, przeto odparłem:

– Jak sobie kto pościeli, tak się wyśpi.

Z dniem każdym stawał się coraz bardziej milczący i chmurny. Nie pił już i nie odzywał -się ani słowem; policzki mu zapadły.

Pewnego dnia usłyszałem nagle pod oknem paplanie i śmiechy. Glahn odzyskał znowu dobry humor i rozmawiał głośno z Maggie. Wprowadził w ruch wszystkie środki swej sztuki uwodzenia. Maggie przyszła prawdopodobnie wprost z domu, a on widocznie na nią czatował. Nie wahali się nawet stanąć tuż, przed moim oknem.

Zadrzałem, odwiodłem kurek fuzji i znowu go opuściłem. Wybiegłem na dwór i wziąłem Maggie pod ramię; bez słowa poszliśmy poza wieś, Glahn zaś zniknął natychmiast w chacie.

– Czemu z nim znowu rozmawiasz? – zapytałem Maggie.

Milczała.

Porwała mnie desperacja, serce waliło mi tak, że ledwie oddychać mogłem. Nigdy jeszcze Maggie nie była tak piękna, jak wtedy, nigdy też nie spotkałem tak pięknej dziewczyny wśród białych. I dlatego zapomniałem, że jest Tamulinką, pod jej urokiem zapomniałem po prostu o wszystkim?

– Odpowiedzże – powtórzyłem – czemu z nim rozmawiałaś?

– On mi się więcej podoba – odparła.

– Więcej ci się podoba niż ja?

– Tak.

Aha, podobał się jej więcej, mimo że mogłem się z nim mierzyć pod każdym względem! Czyż nie byłem zawsze dobry dla niej i czyż nie dawałem jej pieniędzy i podarków? A cóż on takiego zrobił? – On wyśmiewa się z ciebie i powiedział, że wciąż żujesz – rzekłem.

Nie rozumiała i wobec tego musiałem wytłumaczyć jej dokładniej, że miała zwyczaj pakowania wszystkiego do ust i ustawicznego żucia i że z tego powodu Glahn się: z niej śmieje. Wywarło to na niej wrażenie większe niż wszystko inne, com jej powiedział.

– Słuchaj, Maggie – powiedziałem następnie – będziesz moja na zawsze; godzisz się na to? Myślałem o tym, byś mi towarzyszyła, gdy stąd odjadę; ożenię się z tobą, rozumiesz, i pojedziemy razem do mego kraju, i tam razem zamieszkamy. Na to się chyba zgodzisz?

I to również wywarło na niej wrażenie, Maggie ożywiła się i rozmawiała ze mną dużo podczas przechadzki. Raz tylko wspomniała o Glahnie, pytając:

– A czy Glahn pojedzie z nami?

– Nie – odparłem – nie pojedzie. Czy ciebie to martwi?

– Nip, nie – powiedziała porywczo – bardzo się z tego cieszę.

Więcej już o nim nic nie wspominała i to mnie uspokoiło. A gdy ją poprosiłem, by przyszła do mnie, przyszła.

Kiedy po kilku godzinach opuściła moją izbę, wdrapałem się po drabinie na górę do Glahna i zastukałem w cienką ścianę trzciniową. Był w domu.

– Przychodzę powiedzieć panu – rzekłem – że może by lepiej było, gdybyśmy jutro nie poszli na polowanie.

– Dlaczego? – spytał Glahn.

– Bo nie mógłbym zaręczyć, czy nie chybię, czy nie wpakuję panu kuli w łeb.

Glahn nic na to nie odpowiedział, więc zszedłem na dół. Po tej przestrodze nie odważy się zapewne wyjść ze mną na polowanie; ale bo też czemu zwabił Maggie przed moje okno i tak głośno z nią błaznował? Dlaczego nie wraca do ojczyzny, skoro list go tam naprawdę wzywa? Zamiast wyjechać, szwenda się tu i często zgrzyta zębami, i wykrzykuje do siebie: – Nigdy! Nigdy! Raczej kazałbym się poćwiartować!

Mimo jednak wieczornej przestrogi Glahn stanął rano przy moim łóżku i zawołał:

– Hop, hop, towarzyszu, wstawać! Pogoda dziś wspaniała, musimy koniecznie coś ustrzelić. A zresztą wszystko, coś pan wczoraj wieczorem nagadał, jest wierutnym głupstwem.

Nie było jeszcze czwartej, lecz mimo to wstałem natychmiast i wobec tego, że zlekceważył moją przestrogę, przygotowałem się do drogi. Przed wyjściem nabiłem fuzję w jego obecności, by widział, że nie żartuję. Na domiar zachwalana przez niego pogoda wcale wspaniała nie była; przeciwnie – deszcz siępił, czyli że Glahn dworował sobie ze mnie w sposób aż nadto widoczny. Niczego jednak nie dałem poznać po sobie i poszedłem z nim w milczeniu.

Cały dzień włóczyliśmy się po lasach, każdy własnymi zajęty myślami. Niczego nie ubiliśmy, pudłowaliśmy raz za razem, nie polowanie bowiem, lecz sprawy całkiem inne zaprzętały naszą myśl. Około południa Glahn wysunął się naprzód i szedł przede mną, jak gdyby chciał mi dać lepszą sposobność zrobienia z nim, co zechcę. Kroczył tuż przed wylotem mojej lufy, ale i tę drwinę zniosłem w milczeniu. Wieczorem wróciliśmy do domu bez najmniejszego wypadku. Tedy pomyślałem sobie: Teraz może się opamięta i pozostawi Maggie w spokoju!

– Był to najdłuższy dzień w moim życiu – odezwał się Glahn wieczorem, gdyśmy stanęli przed chatą.

Poza tym nie zamieniliśmy z sobą ani słowa.

W ciągu dni następnych pozostawał znowu w najpodlejszym humorze, zapewne wciąż jeszcze z powodu owego listu. – Po prostu nie wytrzymam, nie, nie wytrzymam tego żadną miarą! – powtarzał nieraz w nocy, a głos jego rozlegał się w całej Chacie. W złym humorze zaciął się do tego stopnia, że nie odpowiadał na najbardziej nawet uprzejme zapytania naszej gospodyni, a przez sen często jęczał. Snadź bardzo ma obciążone Sumienie – myślałem – ale czemuż, do diaska, nie wraca do swoich? Nie pozwala mu prawdopodobnie pychą jego, nie chce należeć do tych, którzy raz odpaleni, wracają.

Z Maggie spotykałem się co wieczór i Glahn wcale już z nią nie rozmawiał. Zauważyłem, że przestała żuć, że w ogóle już nie żuła, i ja, radując się tym, pomyślałem: – Nie żuje już, a więc pozbyła się jednej z wad i dlatego kocham ją stokroć mocniej! Pewnego dnia zapytała o Glahna, zapytała bardzo ostrożnie: – Czy go już nie ma? Czy może wyjechał?

– Jeśli nie umarł albo nie wyjechał – odparłem – to na pewno wyleguje się w swej izbie. Nie troszczę się o niego. Niepodobna z nim dłużej wytrzymać.

Gdy jednak za chwilę zbliżyliśmy się do naszej chaty, ujrzeliśmy Glahna spoczywającego na macie na ziemi; ręce miał pod głową i zapatrzony był w niebo.

– Otóż i on – rzekłem.

Zanim zdołałem jej przeszkodzić, Maggie przystąpiła do niego i powiedziała głosem rozradowanym:

– Nie żuję już, popatrz! Ani piór, ani pieniędzy, ani papieru, niczego już nie żuję!

Glahn spojrział na nią ledwie-ledwie i w dalszym ciągu spoczywał w bezruchu, lecz myśmy odeszli. A gdym ją zganił, że rozmawiając znowu z Glahnem, złamała przyrzeczenie, odpowiedziała, iż chciała go tylko wyburczeć.

– Owszem, bardzo słusznie, daj mu nauczkę – rzekłem – ale czyś ty przestała żuć przez wzgląd na niego?

Milczała. Co, milczy, nie chce odpowiedzieć?

– Słyszysz, powiedz, czyś uczyniła to przez wzgląd na niego?

– Nie, nie – odparła wreszcie – uczyniłam to dla ciebie.

I oczywiście musiałem jej uwierzyć. Bo i czemuż by miała czynić coś dla Głahna?

Maggie obiecała przyjść do mnie wieczorem i przysłała.

V

Przysła o godzinie dziesiątej, słyszałem głos jej na dworze, rozmawiała głośno z jakimś dzieckiem, które prowadziła za rękę. Dlaczego nie weszła do chaty i czemu przysła z dzieckiem? Obserwuję ją i zaczynam podejrzewać, że rozmawiając z dzieckiem tak głośno, daje sygnał. I widzę także, że ma oczy zwrócone ku poddaszu, na okienko Głahna. Czyżby skinął na nią, usłyszawszy jej głos? W każdym razie zrozumiałem jedno, że rozmawiając z dzieckiem na dole, nie potrzeba się tak uporczywie wpatrywać w górę.

Miałem zamiar wyjść i wziąć ją pod ramię, ale wtedy właśnie puściła rękę dziecka i sama weszła w drzwi chaty. Weszła do sieni. No, nareszcie idzie, postanowiłem dać jej burę jak się patrzy, niech tylko wejdzie!

Stoję więc i nasłuchuję. Słyszę, jak wchodzi do sieni, tak, nie myślę się, zbliża się już do moich drzwi. Ale zamiast wejść do mnie, słyszę, jak się znowu oddala, jak wchodzi po drabinie na poddasze, do nory Głahna, słyszę to aż nadto dobrze. Gwałtownie otwieram drzwi, ale Maggie zniknęła już na górze i właśnie zamknęły się za nią drzwi, i nic więcej już nie słyszę. Było to około dziesiątej.

Wracam do siebie i siadam, biorę fuzję i nabijam ją, mimo że to noc. O godzinie dwunastej wchodzę po drabinie i nasłuchuję u drzwi Głahna. Słyszę, że Maggie jest tam, że się czuli do Głahna, i wracam znowu na dół.

O pierwszej wchodzę ponownie na górę i teraz jest tam zupełnie cicho. Czekam przed drzwiami, póki się nie zbudzą. Mija godzina, godzina czwarta, wreszcie godzina piąta – obudzili się. Doskonale! – pomyślałem o niczym innym nie myślałem, jak tylko o tym, że się zbudzili i że tak, jak się stało, stało się doskonale. Lecz niebawem rozległy się krzyki i krzątania w pokoju naszej gospodyni, więc co tchu zbiec musiałem na dół, aby mnie tu nie zastano. Głahn i Maggie rozbudzili się na dobre i mógłbym znacznie więcej być podsłuchać, gdyby nie konieczność powrotu.

Wracając, mówiłem do siebie: – Tak, tędy przechodziła, ramieniem otarła się o moje drzwi, ale nie otworzyła ich, poszła na górę, po tej tu drabinie, po czterech tych szczeblach.

Łóżko moje stało jeszcze nie tknięte, ale i teraz także się nie kładłem. Miast tego usadowiłem się przy oknie i manewrowałem nieco przy fuzji. Serce moje nie biło, lecz drżało.

W pół godziny potem usłyszałem kroki Maggie schodzącej po drabinie. Oparty w oknie, widzę, jak wychodzi z chaty. Miała na sobie kusą spódniczkę bawełnianą, nie sięgającą jej nawet do kolan, a na ramionach nadto wełniany szal, pożyczony od Glahna. Poza tym była zupełnie naga, a spódniczkę miała strasznie wygniecioną. Przesunęła się krokiem wolnym, jak to było jej zwyczajem, i nawet teraz nie spojrzała w moje okno. Po czym zniknęła poza najbliższymi chatami.

Niebawem zszedł na dół Glahn z fuzją pod pachą, całkowicie gotów do polowania. Ponury i milczący, nawet się nie przywitał. Mimo to wystrojony z niezwykłą u niego starannością. Ubrał się jakby do ślubu – pomyślałem.

W mig się przygotowałem i poszliśmy razem, bez słowa. Pierwsze dwie kury spadły rozszarpane nieomal w strzepy, ponieważ strzelaliśmy kulami, lecz mimo to upiekliśmy je pod drzewem i spożyli w milczeniu. Tak minął czas do dwunastej w południe.

Wtedy Glahn zawołał:

– A czyś pan pewien, że broń nabita? Bo kto wie, czy nie natkniemy się na jaką niespodziankę. Nabij pan na wszelki wypadek.

– Nabita – odparłem.

Po czym zniknął na chwilę w gęstwinie. Co za rozkosz zabić go, zastrzelić jak psa! Nie spieszno mi, niech się jeszcze bije trochę z myślami; wszakże domyślał się chyba mych zamiarów, dlatego też przecie dopytywał się, czy nabiłem broń. Nawet dzisiaj nie zaniechał swej pychy, wystroił się, miał świeżą koszulę i zadzierał nosa ponad wszelką miarę.

Okolo pierwszej staje znowu przede mną blady i wybuch:

– Nie, dłużej już nie wytrzymam! Zbadaj pan nareszcie, czy broń nabita, czy naprawdę nabita.

– Proszę pilnować przede wszystkim swojej pukawki – odparłem. Doskonale jednak wiedziałem, dlaczego tak natarczywie dowiadywał się o moją fuzję.

I znowu odszedł. Odpowiedź moja taką mu dała gruntowną odprawę, że od razu spotulniał i kroczył już ze zwieszoną głową.

Po chwili ustrzeliłem gołębia i ponownie nabiłem broń. Podczas tej mojej czynności Glahn stoi ukryty za drzewem i podpatruje mnie, i widzi, że naprawdę -nabijam.

I niebawem zaczyna śpiewać psalm, a był to nawet psalm weselny. Śpiewa psalmy weselne i przyodziewa się w najparadniejsze swe szaty – pomyślałem – przypuszcza, że w ten sposób mnie po prostu oczaruje. Śpiewając, szedł przede mną ze zwieszoną głową, szedł powoli i śpiewał. Kroczył znowu tuż przed moją łufą, jakby rozmyślając: „Tak, teraz niechaj się stanie i dlatego śpiewam psalm weselny!” Ale nic-się jeszcze nie stało, a kiedy zamilkł, obejrzał się na mnie.

– r Dziś jakoś wcale nie strzelamy – rzekł z uśmiechem, jakby uniewinnić się pragnął i naprawić to, że śpiewał na polowaniu. Lecz i w tej chwili nawet uśmiech jego był piękny; zdawało się, jakby płakał wewnątrz, i usta drżały mu też istotnie, jakkolwiek udawał, że w tak poważnej chwili potrafi się uśmiechnąć.

Nie byłem dziewczyną i zauważył też niezawodnie, że nie wywarł na mnie żadnego wrażenia; Zaczął się niecierpliwić, jeszcze więcej pobladł, krążył dokoła mnie nerwowo, szedł raz po mojej lewej stronie, to znów po prawej, kiedy niekiedy przystawał i oczekiwał mnie. Około piątej nagle huknął strzał i kula ścisnęła mi koło lewego ucha. Spojrzałem, Glahn stał przede mną nieruchomo w oddaleniu kilkunastu kroków i wytrzeszczał na mnie oczy, w rękę trzymał dymiącą fuzję. Czyżby chciał mnie zastrzelić? – Chybił pan – powiedziałem – kiepsko pan strzelasz w ostatnim czasie.

Lecz on nie strzelał kiepsko, nie chybiał nigdy, chciał mnie tylko podrażnić.

– No, zemścijże się pan, do diabła – krzyknął w odpowiedzi.

– Gdy nadejdzie pora – powiedziałem, zgrzytając zębami.

Stoimy naprzeciw siebie i przesywamy się spojrzeniem. Nagle Glahn wzdrygął ramionami i rzuca mi w twarz jedno słowo: – Tchórz! – Dlaczegoż nazwał mnie tchórzem? Złożyłem się, wymierzyłem mu prosto w twarz i strzeliłem.

Jak sobie kto pościeli, tak się wyśpi...

Tak tedy rodzina Glahnów może już zaniechać dalszych poszukiwań. Do pasji doprowadzają mnie te ustawiczne głupie ogłoszenia, zapowiadające taką to a taką nagrodę za wiadomości o nieboszczyku. Tomasz Glahn: zginął skutkiem nieszczęśliwego wypadku, skutkiem spowodowanego strzału na polowaniu w Indiach. Sąd stwierdził nazwisko jego i zgon w osobnym protokole. I w protokole tym – co niniejszym wam oznajmiam – napisano wyraźnie, że umarł, a nawet i to, że zginął od chybnego strzału.